

Wiech

HELENA

W STROJU NIEDBAŁEM

czyli

KRÓLEWSKIE OPOWIEŚCI

PANA PIECYKA

CZY
TEL
NIK



OD STENOGRAFA

Zaczął się to na trasie W-Z. Spotkałem na Krakowskim Przedmieściu pana Piecyka. Był zmęczony, miał zabłocone buty, ale na twarzy malowało się zadowolenie i jakby duma.

- Co pan tu robi, panie Teosiu? - zagadnąłem dawno nie widzianego miłego znajomego.

- Na dole byłem, an Mariensztacie, zobaczyć, jak robota przy tem nowem Kierbedziu leci.

- No i jakież pan wyniósł wrażenie?

- Starają się chłopaki, owszem, nie można powiedzieć. I tak, Bogiem a prawdą, zaczyna mnie się ta cała kominacja podobać. Z początku myślałem, że to wszystko do cholery będzie podobne... Tranwaje i samochody zaczem pod górę na Krakowskie, żeby do dziury wjeżdżali i dopiero na Miodowej żeby, ni z tego, ni z owego, wyskakiwali... zdawało mnie się to niepoważne... A teraz widzę, że owszem, że to może być nawet niezłe. Na przykład Józia kamienicę będzie ze wszystkich stron widać, a do tej pory była schowana.

- Jakiego Józia? - zapytałem zaintrygowany.

- To pan nie wiesz, że ten dom pod Zamkiem do Poniatoszczaka Józia należał? Król mu go postawić kazał, żeby miał na wydatki.

- Nie rozumiem.

- Starożytnej historii pan w taki sposób nie znasz, ale za dużo by o tym było gadać. Gorzej, że inszy król, niejaki Goździk, w robocie tej trasy W-Z przeszkadza.

- W jaki sposób?

- Posłuchaj pan, to się dowiesz. Jednego razu przyleciało na te budowe paru starszych facetów z bródkamy i w okularach i zaznaczają, żeby przestać kopać dziurę dla tranwai maszynamy, tylko ręcznie za pomocą łopat. Bo podobno parę tysięcy lat temu nazad, za króla Goździka, było w tem miejscu jakieś miasto i meble się po niem zostali. Faktycznie, jakby taka parowa kopaczka wjechała królowi Goździkiowi do stołowego pokoju, mogłaby całe urządzenie w drebiezgi rozbebeszyć. Totyż roboty zostali wstrzymane, a uczeni faceci szukają rzeczy po nieboszczyku Goździku.

Raz krzyk zrobili, że znaleźli cmentarz z tamtych czasów. A trzeba panu wiedzieć, że te staroświeckie warszawiacy nie chowali nieboszczyków w trumnach, tylko podobnie w garnkach, czyli tak zwanych urnach.

Totyż jak te profesorowie znaleźli w gruzach garnek z kośćmi, mało ze skóry z radości nie powyskakiwali. Porozkładali te kości na słońcu i dawaj się jem przyglądać, mierzyć calówkami i fotografie z nich zdejmować.

Ale przyszła jakaś baba, garnek jem odebrała i zaznacza:

„To moje naczynie - mówi. - W tem miejscu na Mariensztacie budkie z warzywem miałam i jak raz w pierwszy dzień powstania krupnik na żeberkach sobie gotowałam. Jak zaczęli strzelać, ma się rozumieć, uciekłam i krupnik ze wszystkim musiał się wygotować, a potem ziemia garnek przysypała, ale w piekle bym go poznała...”

I poszła z garnkiem, zostawiła jem tylko żeberka. Oni to właśnie w charakterze rzadkich zbiorów do muzeum podobnie zostaną zabrane.

Powyższa opowieść pana Teosia o żeberkach króla Goździka sprawiła, że zacząłem nalegać, by mi skreślił pokrótce historię pałacu „Pod Blachą”. Zgodził się acz niechętnie.

To co mówił, było tak oryginalne, że niezwłocznie wyjąłem notatnik, ołówek i począłem z zapalem stenografować nie znane dotychczas nikomu komentarze do dziejów panowania ostatniego naszego króla.

Z pogawędki, jaka się przy tym między nami wywiązała, pan Piecyk doszedł do wniosku, że jeśli chodzi o historię, stanowiąc niezwykle wprost okaz „ciemnej masy”, którą podjąłby się w szeregu wykładów z grubsza chociaż w tej dziedzinie oświecić.

Rzecz prosta - przystałem entuzjastycznie. Prelekcje rozpoczęły się zaraz nazajutrz, a wkrótce ze stenograficznych notatek moich powstał okazały zeszyt, który następnie przerodził się w tę oto książkę.



PIASTUSZKIEWICZE

Uważasz pan, nie będziem mówić o Wandzie, co nie chciała foksdojcza, o królu Kraku, któren miasto Kraków założył, bo to podobnież tak zwana legenda, czyli niemożliwa lipa. W krótkości tylko zaznaczam, że ten ów pierwszy krakowiak tak samo był oszczędnem facetem jak dzisiejsze krakowiaki, i ponieważ że w dziurze pod Wawelem smok drań się okazał, któren co dzień barana wtrajał, widzi ten ów król Krak, że nie interes smokowi baraninę w potrawce dostarczać, że lepiej ją samodzielnie spożyć.

Smok z każdym dniem coraz więcej robi się mordziasty, brzuch mu także samo rośnie, a krakowiaki skarżą się, że chudną. Skoczył król po rozum do głowy. Kalifloru w aptecznem składzie na kredyt wziął, barana wyopatroszył, barszczu na dudkach kazał żonie nagotować z tego, a w barana kalifloru napchał.

Smok frajerzyna o niczem nie wiedział, barana z wybuchowem artykułem w środku w dobrej wierze opchnął i poszedł do jamy pod Wawel kimać. Budzi się w nocy i czuje, że go niemożebne pragnienie męczy, wyskoczył do Wisły, wody się nachlał, pękł podobnież i zakitował.

Król Krak i insze krakowiacy niemożebnie się z tego cieszyli, bo jem wydatek na baraninę odpadł, a oprócz tego jama się jem na wieczne czasy została, którą teraz ładne parę lat publice pokazują i opłate za wejście, ma się rozumieć, pobierają, aby sobie z powrotem odebrać te gotówki, jaką wydali na żywienie smoka.

Teraz co się dotyczy Wandy, która miała nie chcieć giestapowca i wskutek wobec tego musiała w czasie wianków z kajaka do wody wskoczyć, lepiej o tem nie mówić, bo jakimże szubrawcem trzeba być, żeby rodzone dziecko do ślubu ze szkopem namawiać.

Albo cofnijmy się parę lat jeszcze w tył. W Kruszwicy, przed Makowskim, jabłecznego szampana wytwarzał polski król, nijaki Popiołek, któren znowuż z foksojczką Rykszą się ożenił. Baba była zakapior i taka „sama w sobie”, że na te pamiątkie rowerowe derożki na dwie osoby rykszamy się nazywają.

- Czy pan czasami czegoś nie pomylił, o ile pamiętam, Ryksa nie była żoną Popiela?

- Nic nie pomyliłem, dziadek nieboszczyk mnie o tem opowiadał, a przyznasz pan chyba, że starszy był troszkie od pana i lepiej mógł te rzeczy pamiętać.

- No, istotnie.

- Otóż więc dziadek mówił, że ta owa Ryksza flądra była, że rzadko poszukać, sprzątać się cholerze nie chciało, brudy niemożebne w całym domu zapuściła, od czego myszy się wkradli. Narzekał nieraz Popiołek, kamaszamy za myszamy ciskał i sztorcował żonę, że pułapek nie zastawia, ale nie mógł nic zrobić, bo sam stale i wciąż przy butelkowaniu „Złotej Renety” był zajęty.



I tak sobie myszy go pozbadli, że na koronie mu siadali, w „chowankie” mu się po kieszeniach bawili i w „komórki do wynajęcia”. I wiesz pan, jak się skończyło?

- Wiem. Myszy Popiela zjadły.

- Właśnie. Tylko korona, berło i podkówki od butów po nim się zostali. Na te pamiątkie urządza się teraz w Warszawie raz na rok uroczystość odszczurzenia. Tylko o to się rozchodzi, żeby się młodzież historii nauczyła, bo szczerom to podobnież nic nie szkodzi.

Otóż więc jak myszy Popiela nam wtroili, nie posiadaliśmy chwilowo żadnego króla i bardzo się nasze przodki z tego powodu truli, ale nikt na takie niebezpieczne posade nie lefrektował. Długo się to ciągnęło, aż koniec końców Piast niechęć w ten interes wleciał jak śliwka w komput. A stało się to w następujący deseń.

Ten ów Piast był podobnież z fachu kołodziej i nieduży warsztat niedaleko Poznania prowadził. A miał, uważasz pan, syna, którego fatalnie fryzjera się bał i za żadne pieniądze do rezury nie dał się zaprowadzić, chociaż siedem lat już skończył i włosy szczeniakowi takie urosły, że same warkoczyki mu się zaplatali. Zgniewał się ten Piast jednego dnia i zaznacza:

„Dostyc mam tego, do wielkiej niespodziewanej grypy, muszę Zyzia ostrzyć” - bo jemu Ziemowit było na imię, ale w domu wołali go Zyziek.

Pożyczył gdzieś chłopina maszynkie, chłopaka za łeb, ręcznikiem szyję mu obwiązał i strzyże, a tu się drzwi otwierają i wchodzi dwóch młodych facetów. Patrzy się Piast i myśli, co za cholera. Coś tak jak skrzydła pod jesionkami mają. Anioły nie anioły, podróżne nie podróżne, ale oni, uważasz pan, mowe zawalają, że ten ów strzyżony w tem trakcie dzieciak za króla się zostanie.



Słuchał Piast tego bajeru jakiś czas, aż koniec końców się pyta:

„A panowie szanowne właściwie kto takie?”

„Jak to kto, to pan nie znasz Cyryla i Metodego?”

Spietrał się ten Piast na razie, przybladł troszkie i mówi:

„To panowie z Cyryla i Metodego?”

„Nie, my same jesteśmy Cyryl i Metody, w charakterze świętych się zatrudniamy i raz jeszcze zaznaczamy, że ten nie dostrzyżony małoletni chłopak w szkolnym wieku za króla się zostanie, i nie tylko on, ale i jego potomki.”

„Przepraszam, jak godność?” - pyta się jeden kołodzieja.

„Piast się nazywam.”

„Dobrze, otóż ten pierwszy król i wszyscy, co po nim nastąpią, przejdą do historii starożytnej jako Piastuskiewiczze.” Po tych słowach znikli jak kamfora.

Mimo nalegań, pan Piecyk w tym miejscu przerwał wykład, obiecując mi ciąg dalszy w niedalekiej przyszłości, gdyż musi sobie przypomnieć dalsze dzieje panowania w Polsce rodu „Piastuskiewiczów”.

OGÓLNE CHRZCINY

Po kilku dniach pan Piecyk sam mnie zaczepił na ulicy i rzekł:

- Zeszłą razą zaznaczyłem parę słów na konto niejakich Piastuskiewiczów, które mieli się zostać za pierwszych naszych królów. Dzisiaj słuchaj pan dalej:

Faktycznie, Cyryl i Metody nie nabili Piasta w karafkie i tak Zyzyk, jak i jego dzieci szczęśliwie u nasz panowali, ale pierwszym legularnym królem się został prawnuczek Miecio - i w taki sposób mogę go sobie zapamiętać jako Mieczysława numer jeden.

W tem miesiącu zmuszony jestem zaznaczyć coś niecoś na konto wyznania religijnego naszych pradziadków, czyli przodków.

Nie ma co przy tem kołować i ogródkiem chodzić, śmiało i otwarcie musiem sobie powiedzieć, że te nasze przodki w ogólności chomonciaki, czyli żłody niepiśmienne byli, kościołów także samo jeszcze nie posiadali i do bożków się modlili.

Bożki, czyli bałwani, to byli drewniane albo kamienne faceci, zarządzające słońcem, wiatrem, deszczem i inszem gradobiciem. Sam najważniejszy między niemi był uskuteczniiony z dębowej szczapy i cztery oblicza posiadał. A nazywał się Światowid, dlatego że niby jednocześnie na cztery strony świata czterema parami wypalonych w drzewie oczów kapował.

Dzisiaj wiemy, że to wszystko był puc, ale ostatecznie wstydu nie ma, bo wtenczas nie tylko u nasz, ale i za granicą do bożków nabożeństwa się odprawiali. W takim na przykład mieście Rzemie boginia się znajdowała, cielesna blondyna, nazwiskiem Wenus. Krugom goła chodziła i jak się z inszemy bożkami prowadziła, najlepszym dowodem to, że na te pamiątkie tak zwane niedyskretne choroby pod jej wezwaniem do dzisiaj egzystują.

Nasz drewniak Światowid nie był może taki przystojniak, ale za to publicznej opinii nie miał.

Ale koniec końców poznali się nasze na bałwanach. Dowiedzieli się o tem szkopy i koniecznie chcieli naszych pradziadków chrzcić. Wtranżalali się do nas na Ziemię Odzyskane i co i raz chrzciny urządzają.

Ale nasze przodki skapowali koniec końców, że ich przy tem w kant nabijają. Bo to było, uważasz pan, tak. Jak ochrztili partie pradziadków, to jem bożków zabierali, żeby się więcej już do nich nie modlili. Ale patrzą te nasze przodki, że szkopy oprócz bałwanów meble także samo jem z domu wynoszą, na platformy układają i do Berlina wysyłka idzie. Widzą pradziadki, że nieklawo, spomknęli się wtenczas z Czechami i mówią: „Chrzczicie nas wy!” A trzeba szanownemu panu wiedzieć, że Mietek Piastuszkiewicz był już chłopak po wojsku i w kawalerskim stanie, jako królowi, nie wypadało mu figurować. Przygruchał sobie jedną Czeszkę, niejaką Dąbrowszczankie, na zapowiedzie dał i w krótkim czasie się z nią ochajtnął.

Jak się to stało. Dąbrowszczanka - osobistość nabożna, nie miała życzenia, żeby rodzina męża w charakterze ciemnej masy do bożków pacierze mówiła, napuściła Mietka i zaczęli się ogólne chrzciny.

A teraz możem sobie łatwo wyobrazić, co się wtenczas w całym kraju działo. Bo skoro jeżeli, jak mój koleżka córkie w Stalinogrodzie chrzcił, trzy dni goście pijane w dym chodzili, to jako ludzie po szkołach kształcone wszystko jawnie widziem, jakbyśmy same w tamtem czasie żyli i w charakterze kumów albo zwyczajnych gości na tych chrzcinach się znajdowali, rozróbka musiała być pierwsza klasa.

Dosyć na tem, że chrzciny przeszli planowo, a Niemcy nic o tem nie wiedzieli. Przyjeżdżają za parę tygodni do Jeleniej Góry czyli tyż do Wałbrzycha, detalicznie panu nie powiem, i mowę zawalają do Mietuchny, że w dalszem ciągu zamierzają chrzciny nam wyprawiać. A Miecio z gośćmi w śmiech:

„Kogo będzieta chrzcili, kiedy to wszystko ochrzczone?”

„Na czysto?”

„Na sto procent, niech ja skonam!”

„No, dobrze - mówią Niemcy - a bożki dlaczego stoją?”

„Dla chaseny, czyli towarzyskiej draki żeśmy ich zostawili, żeby was na wodę napuścić!”

I w charakterze dowodu rzeczowego jak nie gwizdnie Mietek Światowida w jedną mordę, jak nie sztachnie w drugą mordę, w trzecią, w czwartą... A Dąbrowszczanka z wierzchu bożka parasolką.

Widząc to reszta gości, z czem kto miał pod ręką, leci grzać bałwanów. W trymiga porozbijali ich w drobny mak. Byliby zniszczyli wszystkich co do sztuki, żeby nie to, że warszawiacy, co na tych chrzcinach tyż byli, wyszabrowali większe partie bożków i opychali do Kowna Litwinom, którzy jeszcze przez czas dłuższy za poganów chodzili.

Widzą Niemcy, że krewa, kropidła pod pachy i chodu za Odre i Nyse!

ZA CIASNA KORONA

Król nie król, kiedyś zakitować musi. Po śmierci Mietka Piastuszkiewicza jego syn, jedynak, za króla polskiego się został. Równy to był chłopak i kawał kozaka, totyż koleżki nazywali go Chrobry, co w staroświeckim języku znaczyło, że chojrak i nie da sobie byle pętaczynie podgrymaszać. Szkopy na razie o tem nie wiedzieli, myśleli: „Młodziak w terminie, jeszcze dobrze na króla nie wyzwolony, da się wykołować” i co i raz bez rzekie Odre i Nyse za Ziemię Odzyskane nam się wtranżalali. Ale z chwilą kiedy otrzymali parę razy przyzwoicie w kość, nabrali dla Bolka szaconku.

W tem czasie miał być u nasz pogrzeb arcybiskupa. Niemiecki cesarz, niejaki Wiluś, przysłał telegramę, że ma życzenie być obecnem na tem pogrzebie. Zgodził się, ma się rozumieć, nasz król i mówi: „No, dobra, przyjadź pan.” Ale troszkie się Bolek zdziwił, jak zobaczył, ile tych cwaniaków z Wilusiem przez most na Odrze gania. Bo faktycznie, oprócz cesarza i gienieralnego sztabu do cholery i trochę esesmanów i żandarmów się napchało.

„Czy nie za dużo tych pobożnych? - myśli sobie Chrobry. - Czy oni jakiej grandy nie obmyślają? Ale nic, pies z niemy tańcował, niech zasuwają.” - Kazał ich tylko fest tajniakami obstawić.

Przez cały plac do samego dolnego kościoła czerwony chodnik kazał król położyć. Ale że deszcz tego dnia padał i Wiluś niemożebnie był zaszargany, przed samem chodnikiem Bolek go za frak i mówi:



„A może byśmy tak kamasze zdjęli, bo chodnik faktycznie jest pluszowy i sama cholera go nie oczyści, jak się w niego błota nabije. Cesarz pojedziesz sobie do kopy diabłów, a ja się zostanę i będę miał nieprzyjemność od żony.”

Usiedli na tretuarze, zdjęli kapcie i boso przez cały plac po tem chodniku do samego dolnego kościoła zapychali. Wiluś niósł wieniec blaszany z papierowemy szarfamy oraz napisem: „Od parafian z Berlina”.

Po pogrzebie, rzecz jasna, zmuszony był król syrek urządzić. Że ochłaj i spozycie było formalne, nie będę pana szanownego objaśniał. Z korytem w Berlinie nigdy za dobrze nie było, totyż nie masz pan pojęcia, jak te Niemcy rąbali. Co królowa półmisek z kuchni przyniesła, w trymiga pusty. Żarli wszystko „pod miętę” rzeżuche nawet, którą sztukamięs z kwiatkiem dla optyki była przybrana, pędzlowali, bobkowem listkom nie darowali. A najwięcej wtrajał cesarz. Królowa za kwiatki droższe dania odstawiwała, ale to nic nie pomagało, wszędzie znalazł i młócił na czysto. A jak sobie już fest żołądek wyłożył, korone zdjął ze łba i naszemu Bolkowi włożył na głowę.

„Teraz dopiero za odpowiedzialnego króla jesteś. Masz te korone, odpalam ci ją na zawsze.”

„No, dobra, ale w czym ty będziesz chodził?” - pyta się Pistuszkiewicz, ponieważ że był facetem z salonowem otrzaskaniem.

Ale szkop się nadał i mówi:

„Korona dla mnie frajer, sześć sztuk takich mam w domu, w komodzie. Grosza za nią od ciebie nie chcę, chociaż ładną forszę mnie kosztowała. Każ mnie tylko na pamiątkę zawinąć w papier nadziewanego indyka, prosiaka po rusku, gięś z jabłkami i tego faszerowanego szczupaka, bo nadzwyczaj sosisty, wszystko, ma się rozumieć, z półmiskami.”

A trzeba szanownemu panu wiedzieć, że król miał całą zastawę z frażetowskiego srebra, brzegi złożone.

Jak to Bolek usłyszał, chciał na razie strzelić cesarza w mordę, ale staropolska gościnność mu na to nie pozwoliła i usiadł. Kazał przynieść papier, szpagat i dalej te dania pakować.

Inne szkopy, jak to widzą, tyż robią paczki z czego się dało. Sos w butelki przelewali, ćwikłe zabrali. Rzecz jasna, że cały serwis i wszystkie noże, widelce co do sztuki rąbnęli.

Królowa cięta była jak wielkie nieszczęście, bo nie dosyć na tem, że serwis i nakrycie była stratna, kawałka mięsa nie zostało, a na drugi dzień była niedziela i rodzina miała być na obiedzie. Nawet szarlotki dranie gwizdneli!

- Panie Teosiu, przepraszam - przerwałem na chwilę wartki tok wykładu. - Podręczniki historii dla użytku szkolnego trochę inaczej to ujmują: Bolesław Chrobry dobrowolnie podarował swym gościom wszystkie złote i srebrne naczynia, z których jedli i pili.

- Tak? No, to wierz pan podręcznikom. Ja inaczej słyszałem. To może i to nieprawda, że Bolek był drugi raz koronowany?

No, widzisz pan, a dlaczego, bo Wiluś go niemożliwie naciął. Raz, że korona była za ciasna, w ciemnie niemożliwie króla piła, bo miał głowę jak się należy, sześćdziesiąty piąty numer, a szkop był mizerny, z małym łebkiem. Ale to jeszcze nic, najgorsze, że król chciał się dowiedzieć, na ile się został stratny przy tej zamianie i posłał koronę do otaksowania do lombardu. Taksator się skrzywił i powiedział:

„Lipa, tombak, amerykańskie złoto!”

Na szczęście Wiluś przeżarł się na tem syrku i w krótkich abcugach kojfnął. Wtenczas dopiero Bolesław dostał od ojca świętego przyzwoite korony z próbą (trójka dentyściana) i jak się należy dał się obkoronować w czerwonej pelerynie na białych królikach, z berłem i kosztelą, czyli też złotą renetą w ręku.

W KORONIE DO CUKIERNI

Nie miał Bolesław Chrobry szczęścia do dzieci. Najstarszy, Mieciak, którego na chrzcie świętem to imię otrzymał, nie wdał się ani w ojca, ani w dziadzia. Po całych dniach tylko kimał. Wstać mu się rano nie chciało. Po południu, owszem, mógł wykołować największego nawet chojraka, ale rano - zdechł pies. Zaczem się z pościeli podniósł, wyziewał jak się należy, po plecach wydrapał, było pół do czwartej. Wtenczas do śniadania siadał. Pomalutku wtrząchał jajecznicę z dwudziestu czterech jajek na słoninie ze szczypiorkiem, wrębał pół szynki z wody na gorąco, bo nasze przodki niemożliwą mieli melodię do żarcia, popił to wszystko rondlem kawy i znowuż w kimono uderzał. Ale nie na długo. Podrzymał z godzinkę, wstawał na obiad z sześciu dań, załatwiał się z niem w krótkich abcugach i znowuż lulu. Pochrapał troszkie, patrzyć, zrywa się, pałasz ze ściany łapie i krzyczy:

„Baczność! Słudzi do mnie! Na front jadziem! Dawać tu szkopów na jeża strzyżonych, zaraz się tu z niemy oblece!”

Ale ciemno już było, wojsko rozespiane sztorcowało go na czem świat stoi i nie chciało się z nikim naparzać, zwłaszcza że i nieprzyjaciel dawno już na drugi bok się przewracał i na polu bitwy żywego ducha nie było. Polatał po mieszkaniu, pokrzyczał, lampe pałaszem niechcący zbił i wolens nolens wszyscy znowuż na spoczynek musieli się udać.

Totyz jak za króla się został, ciężkie czasy nastali. Przodki cięte na niego jak wielkie nieszczęście nazwali go Gnuśny, co znaczy, próżniak, leń, śpiąca królewna, koń Pana Jezusa, lebiega niewidymka i temuż podobnie. Ale co z tego, kiedy sąsiedzi pozabierali nam, co się dało. Każden łapał, co było pod ręką. Czesi nie Czesi, Węgrzy nie Węgrzy, podwadzali nam gronta na cały legurator, nawet Duńczyki przytaskali się z końca świata i przykaraulili nam Pomorze.

A w dużym stopniu żona, cholera, temu była winna, zaczem łachmyte z pościeli podnieść, do zajęcia rano wysłać, mówiła: „Niech śpi, niech go szlak trafi z jego całym państwem!” Bo musze panu nadmienić, że to była rajchsdojczka, rodem z Berlina, która naumyślnie za tego flimona się wydała, żeby nasz zniszczyć. Nazywała się Ryksza...

- Chwileczkę, panie Teosiu - przerwałem wykładowcy. - Widzi pan, że miałem rację twierdząc, iż żona Popiela nie nazywała się Ryksa, to było imię małżonki Mieczysława Gnuśnego, a zatem dziadek pański się mylił.

Pan Piecyk popatrzył na mnie z ironią, po czym rzekł spokojnie:

- Tak pan myślisz, możliwe... Chociaż kto wie? A teraz powiedz mnie pan, czy o wiele moja małżonka ma na imię Julcia, sklepikarz na Targówku, niejaki Kropidłowski, nie może posiadać żony Julci? Mnie się zdaje, że może, a nawet na mur ma, bo nie dalej jak wczoraj pogotowie go zabrało do Przemienienia Pańskiego skutkiem dlatego, że ta dana osobistość zaprawiła go przez sercowe zazdrość kilowem gwichtem w ciemie. Modna jest dzisiaj Julcia między kobietamy, modna w dawniejszym czasie była Ryksza.



Umilkłem zawstydzony, a pan Piecyk odchrząknął i wykladał dalej.

- Otóż więc ta dana Ryksza, z chwilą kiedy mąż się przeniósł do „alei sztywnych”, zaczęła się u nasz rządzić jak szara gęś. Podatek na kawalerów nałożyła, w koronie od rana do nocy po mieście ganiała. Za sprawonkami w koronie, do cukierni na plotki w koronie i w ogólności wszędzie tem królewskim nakryciem głowy szyku zadawała. Znudziło to się, ma się rozumieć, nareszcie narodowi i zaczęli się bunta, strejki i rozruchy. Widzi Ryksza, że nieklawo. Zapakowała w nocy manatki na fure, państwowe fondusze na pensje dla urzędników, bo to jak raz było przed pierwszym, z banku podwadziła i chodu do Berlina z Kaziem.

- Z kim?

- Z Kaziem Odnowicielem. Ten Kazio to był, uważasz mnie pan, jej chłopak. Z nieboszczykim Próźniakiem go miała. Dzieciak był nawet, nie można powiedzieć, dobry, ale też troszkie po tatusiu ciepła klucha. Chociaż nie miał życzenia do Niemiec jechać, matki się bojał i musiał. W Berlinie oddała syna do duchownego seminarium, a sama dawaj się z giestapowcami za nasze pieniądze podbawiać.

A w kraju temczasem zaczęło być bardzo niedobrze. Króla nie ma, forsy nie ma i na dobitkę pogani zaczęli nazad głowy podnosić. Bożków potopionych przez Mietuchne Pierwszego z wody wyciągli, podszykowali troszkie i znowuż msze do nich odprawiać zamiarują. A na czele tych pogańskich fetniaków stanął niejaki Maślanka...

- Zaraz, zaraz, mnie się wydaje, że to był Masław...

- Masław, Maślanka czy Masełko mniejsza o to, dosyć na tem, że z mleczarsko-jajczarskiej branży i że niemożebnie rozrabiał. Widzą nasze staroświeckie rodaki, co się robi, wsiedli na furmanki, bo koleje państwowe jeszcze wtenczas nie egzystowali, i zapychają do Berlina.



Przylecieli do tego seminarium, ale jem powiedzieli, że Kazio już wyzwolony na księdza w jakimś klasztorze się znajduje. To oni walaj do tego klasztoru, przyjechali, zaszukali do bramy, patrzą, a tu jem zakonnik jakiś otwiera. Kaziak nie Kaziak, Odnowiciel nie Odnowiciel? Poznać go nie mogli, bo zamiast królewskiego fraka, habit na sobie posiadał i białem sznurkiem był przepasany, także samo włosy, zaczem mieć po królewsku zaondolowane - zerem do skóry ostrzyżony, tylko wianuszek ma naobkoło głowy.

„Kaziak, jak ty wyglądasz? Co ty tu robisz? - w te odezwali się nasze rodaki słowa. - To ty niemieckiego księdza odstawiasz, za klasztornego ciecica z kluczamy przy bramie się zatrudniasz, reformackie pigułki po nocach kręcisz, a tem w Polsce pogani, taka ich w te i nazad, głowy podnoszą, kościoły na dancingi przerabiają, bożków drani wszędzie ustawiają, czy to tak być powinno, czy to pasuje do Piastuszkiewicza, czy pradziadek Miecio w grobie się przypadkiem nie przewraca, czy prababcia Dąbrówka cie czasem w nocy nie straszy. Ty tu melzupkie krugom cały dzień opychasz, a na królewskim dworze twoje spadkowe gięsi Maślanka z kapustą i kartoflami piure w krzyże wbija?!”

Wyszedł Kazio koniec końców z nerw, klucze do rowu, na furmankie wskoczył i zasunął do Polski, tam się z Maślanką w trymiga obleciał, bożków nazad do Wisły i zajął się remontem. Wypalonych domów do cholery i trochę wtenczas było - wszystkie co do sztuki podnawiał, tanio - na klejowo, ale za to raz dwa.

„Jestem Odnowiciel czy nie jestem!” - krzyczał, jak mu rząd forszy na wapno, ugier i ultramaryne żałował.

„Jesteś, Kaziuchna, jesteś!” - wołał żywo minister skarbu i wypłacał moniaki, chociaż potrzebne mu byli na walkie z analfabetyzmem i różne akcje od A do Z.

Wieczoramy na kursa dla dorosłych uczęszczał i był podobnie pierwszym królem, któren drukowane czytać umiał i tabliczkie mnożenia znał na wrywki.

WOJNA NA WYNOS

Nie mamy zaszczytu znać małżonki Kazia Odnowiciela, ale musiał być żonatem, skoro jeżeli historia nasz poucza, że kilkoro dzieci posiadał. Największą jednak pociechę miał z najstarszego - Bolek mu było. O wiele o charakter się rozchodzi, kubek w kubek, wypisz, wymaluj - nieboszczyk Chrobry - koleżka w deche, szczery niemożliwie, koszule by z siebie zdjął ostatnią, chojrak, że rzadko poszukać, przed nikiem nie drefił, ale honorowy wprost do obrzydliwości, marnego słowa nie dał sobie nikomu powiedzieć, raptus straszny i między nami, mężczyznami, mówiąc, rozróbkarz nielichy, podbawić się lubiał na sto dwa. I to go właśnie poniekąd zgubiło, jak za króla po tatusiu został.

Na razie, uważasz pan, nachwalić go się wszyscy nie mogli: „Ach, jaki śmiały, nadzwyczaj” - o niem mówili. Grzał nieprzyjacieli faktycznie, aż trzeszczało, do niemieckiego cesarza się postawił i przestał mu forse, czyli tak zwany hołd odpalać. Bo, uważasz pan, taka była wtenczas moda, że Polska nie wiadomo dlaczego rok rocznie szkopom dole z podatków musiała oddawać. Zapłacił Boluchna raz, zapłacił drugi, ale się koniec końców zbontował i mówi do ministra skarbu:

„Nie dawać łobuzom grosza, jak przyjdą, przyślij ich pan do mnie.”

Przyjechali szkopy po Nowem Roku z workiem po pieniądze, przysłał ich minister do Bolka, a on jem zapytanie robi:

„Panowie szanowne do kogo?”

„Do wielmożnego obywatela króla.”

„W jakiej sprawie?”

„Wiadomo, po forse za hołd.”

„Dla kogo?”

„Co z nasz król balona robi? Wiadomo, dla cesarza.”

„Dla cesarza?! A coże ja go za rudą brode szarpanego na wypasienie wziełem? Co on taki znowuż ciężko przystojny, tak się da lubić, pieska jego fotografia? Powiedzcie mu, że dostanie ode mnie dwa haki, a jak mu się nie spodoba moja odpowiedź, niech pisze apelacje do ślepej kieszki.”

Postawili szkopy na króla oczy, nie kapują, co mu się stało, ale koniec końców zabrali się i poszli. I myślisz pan, że coś z tego było? Nic. Zajemponował łachudrom. „To on musi być mocny, jak się tak do nasz stawia” - myślą sobie i przestali się upominać.

Później pomagał Bolek różnym swoim poniterom, famieliantom i koleżkom z królewskiej branży. Jak który gdzie tylko od kogo na świecie knoty dostał, z miejsca do niego na skargie leciał, a on „Szczerbca” po pradziadku Chrobrem łapał i zasuwał koleżki bronić. Ten „Szczerbiec” faktycznie był wyszczerbiony, bo Chrobry w swoim czasie w Kijowie Złotej Bramie niem przywanił i w kuty żelazny zawias trafił. Znajome namawiali króla, żeby go na szmelc oddał, bo nie wypada urzędowej osobie takim zdezolowanem pałaszem się posługiwać, ale Śmiałoszczak jem odpowiadał:

„Nie mogie, bo to pamaćka rodzinna po pradziadku, a szczerbaty nie szczerbaty, nie chciałbyś pan chyba, żebym pana niem zaprawił.”

I nikt faktycznie nie chciał próbować na sobie, czy pałasz jeszcze dobry. A był nienajgorszy, bo gdzie się tylko wnuczek Chrobrego z niem pokazał, wszędzie nieprzyjacieli zwyciężał. A w ogólności przeważnie za granicą te wojny prowadził, na wynos, można powiedzieć.

Przylatuje raz czeski król z płaczem, że szwagier rodzony z kraju mu kota popędził i korone zabrał. „Nic się nie bój - mówi mu na to Bolek - zaraz się na niem odegramy” - i zasuwa z tem płaczkiem do Pragi. Wchodzą do pałacu, patrzą, faktycznie, jakiś lebiega na tronie siedzi z koroną na łbie.

„To ten?” - pyta się Bolek czeskiego króla.

„Ten sam.”

„Daj mu w ucho. Nie bój się, w razie czego cię obronię.”

No to, ma się rozumieć, czeski król szwagra w arbus i swoją rodowitą koronę mu zabrał.

To samo było w Budapeszcie, to samo w Kijowie. Ale dużo te koleżeńskie interesa czasu zabierali Bolkowi i stale i wciąż za granicą zmuszony był z wojskiem siedzieć. Znudziło się to, ma się rozumieć, oficerskim żonom w Krakowie i zaczęli się z cywilami, jak to mówią, rozrywać. Co który oficer na urlop przyjedzie do Krakowa, oczy wytrzeszcza i dziwi się, że dzieci mu przybyło. Zostawił czworo, ma siedmioro.

Tłomaczyli się rozerwistki, że to prawdopodobnie się stało listownie, bo mąż bardzo uczuciowe listy pisał. Rodzinne nieporozumienia na tem tle powstawali. - „To my się w Kijowie męczem, a wy u Noworolskiego ciastka z kremem doktorom fundujecie? To my w Kijowie do ostatniej kropli krwi walczem, a wy u Hawełki z tajnymi radcami się podbawiacie?!” - narzekali te zdradzone mężowie. Ale tak, Bogiem a prawdą, to w tem Kijowie nie ze wszystkim tak było. W dzień, owszem, wojna szła na potęgę, ale po nocach nielicze rozróbki się odbywali. Wojskowe faceci na dancingach przy cygańskiej orkiestrze w gazik uderzali niewąsko. Bolek też nie był pod tem względem od macochy i nie bardzo się tak znowuż do Krakowa wyrывał. Kijów miasteczko wesołe, a w Krakowie przeważnie narodowe pamiątki.

Tu kijowianki na bałabajkach podgrywają „Oczy czarne”, „Dwie gitary” albo „Ach, zacziem eta nocz...”, a tam pochód ku czci Kadłubka. Ciężko mu się było wybrać nazad, ale koniec końców przyjechał król z wojskiem do domu. Rozerwistki do galopu zebrał, radców do mamra powsadzał, ale nie zdawał sobie sprawozdania, że sam jest winien temu wszystkiemu. Ale najgorsze to to, że biskupa, którego do pokuty wzywał, życia pozbawił. Wtenczas dopiero sprzytomniał, żałować poniewczasie zaczął, na puszcze w charakterze pokutnika się udał i słuch po niem zaginął.

Po Bolku braciszek jego młodszy za króla się został, Władysław, którego nie wiadomo dlaczego Hermanem nazywają, przecież on nie żaden Herman, tylko Piastuszkiewicz. Czyje to było nazwisko, jak się to stało, do dzisiaj nikt nie wie. Możliwe, że przy chrzcinach papiery w parafii pomieszali albo ojciec chrzestny był troszkę pod rezyką, jak to przy takiej uroczystości, i nazwiska pokręcił. Albo swoje podał, albo chrzestnej matki, a może nawet akuszerki. Każdy inny sprostowanie by zrobił, ale Władkowi się nie chciało, bo był człowiekiem fatalnie niedbałym, w dziadka Gnuśnego się wdał. Dostyc na tem, że nawet koronacji nie urządził, bo nie mógł do lubilera do przymiarki korony się wybrać. Tak też rządził. Chorował, kwękał, jak nie w Krynicy, to w Ciechocinku siedział.

Synowie za niego rządzili, a jak się przeniósł do tak zwanej wieczności, Bolesław Krzywousty, jako najstarszy, panować u nasz zaczął.

Nie można powiedzieć, nielichy to był król, tylko tan błąd zrobił, że Polskie między niezgodne dzieci podzielił.

Wtenczas zaczęła się polka w trzecią stronę z figurami...

SCHOWAJ PAN TEN LOMBARD

Na razie weźniem pod uwagę czas, kiedy Bolesław sam w szkolnym wieku się znajdował. Otóż więc od pięćdziesiątka, można powiedzieć, bo lat dziesięć miał, a już za dużego kozaka uchodził i na wojne lubiał ze starszymi jeździć. Ojciec, znaczy się Władysław Herman, nieraz wyglądał oknem z Wawelu i widzi, że Krzywousty ma kucyka siedzi, pałasz w rękę trzyma i z wojskiem na front się wybiera, dyszczypliną mu wtenczas groził i krzyczał:

„Bolek, na górę, lekcje robić!”

„Tata da spokój, tata idzie spać” - odpowiadał chłopak.

„Ale ja ci mówię, chodź na górę, ciastko dostaniesz!”

Skrzywił się Bolek jak nieszczęście i mówi:

„Tata się odczepi od dziecka-rycerza z ciastkiem znowuż. No, zapychamy, panowie, szkoda czasu!” - Podcinał kucyka nahajem i pierwszy wyjeżdżał na ulice, a żołdaci za nim.

I tak od małego grzał się ten Krzywousty z Czechami, Niemcami i innymi Pomorzanami. A jak miał lat szesnaście, królem się został i patrz pan, całe swoje życie wojny i wojny stale i wciąż prowadził. Przede wszystkim niemiecki cesarz, niejaki Hendryk, numer zdaje się piąty, przymazał się do niego o ten hołd, co to go Bolesław Śmiały przestał w swoim czasie płacić. Nie tylko o bieżącą ratę wołał, ale i zaległości wymagał z procentami i kosztami egzekucyjnymi.

Bolek nie chciał, ma się rozumieć, o tem słyszeć!

„Ja ci zapłace, aż ci się ręka skrzywi i nie będziesz miał czym liczyć.”

No to szkop, jak to mówią, przekroczył granice i wmeldował się nam na Ziemi Odzyskanej. Stanął pod miastem Głogowem i dawaj oblężenie skutecznie. Wtenczas Bolek telegrame pchnął do głogowiaków, żeby się poniekąd trzymali, aż on z polskim wojskiem nadleci. Głogowiaki bronili się na medal. To jak szkop widzi, że nie da rady miasta zdobyć, numer jeden łobuzerski wynalazł, którego później Hitler w warszawskim powstaniu powtórzył. Małoletnich dzieci, drań, w charakterze zakładników połapał, do swoich staroświeckich drewnianych tanków poprzywiązywać kazał i jedzie.

Ale Głogów i tak się nie dał. Widzi Hendryk, że wszystko na nic, że te oblężenie do tak zwanej uszarganej śmierci może się ciągnąć, a tu wtrajac na polu nie ma co, list do Bolka skopiował, żeby mu ministra spraw zagranicznych przysłał, bo chce pokojowe konferencje zacząć. Posłał Krzywousty do niego niejakiego Skarbka.

Wchodzi Skarbek do pałatki, w której cesarz siedział, kłania się i zaznacza dyplomatycznie: „Moje uszanowanie, co słyhać, jak się pan szanowny czuje po tych knotach pod Głogowem?” - i temuż podobnie.

Cesarz udał, że nie zrozumiał, że go Skarbek „zagiął” - i nadmienia:

„Owszem, dziękuje, doskonale mnie idzie, ale już spiesze się do Berlina, bo mam w niedziele gości, i w taki sposób co do tego hołdu mozem się ułożyć na pięćdziesiąt procent.”

„Przypuszczam, że wątpie, żeby się król zgodził, bo jakżem wyjeżdżał, zły jak wielkie nieszczęście po tronowej sali tam i nazad latał, krzywił się fatalnie i mamrotał do siebie: «Grosza łobuzowi nie dam.» Nie wiem, czy detalicznie waszą cesarskie mość brał pod uwagę, ale w każdym razie było widać, że żadnych wydatków w najbliższem czasie nie zamiaruje fobić.”



Szkopa mało szlak na miejscu nie trafił, zaczął się odgazywać, że z torbami Bolka puści, że go zniszczy na glanc. I żeby pokazać, jakie fondusze na to posiada, kazał przynieść kuferek z biżuterią. Zajrzał nasz minister do kuferka i w te odzywa się słowa:

„Owszem, niczego sobie sztuki, nie można powiedzieć, chociaż kursy na twarde i złoty szmelc mocno spadli, warte to jeszcze ładne pare groszy, ale my, Polacy, kochamy się w wyrobach żelaznych, jak na przykład pałasze, piki, bagneta i insze szpikulce, bo można tem w razie czego nieprzyjacielowi łeb poprzecinać. Totyż, było nie było, niech ja strace, masz pan jeszcze jeden i schowaj pan ten cały lombard.” - I w tem trakcie, uważasz pan, ściąga Skarbek z palca pierścionek z rubinowem oczkiem oraz brylancikami i trzask go do tej skrzynki. Szwab zgorzał, morde otworzył i się patrzy, i dopiero po dłuższem czasie przemówił:

„Dankie.”

„Bitte. Aufwiedersehen” - odpowiedział Skarbek, bo jako Galicjak biegle po niemiecku władał, i poszedł.

Na drugi dzień znowu zaczęła się wojna, Hendryk przytaskał się pod Wrocław i znowu zamieruje oblężenie zaczynać, ale Krzywousty zalecał mu od Odry i na placu wystawowym Ziem Odzyskanych takie niemożliwe manto spuścił, że tylko paru szkopów z życiem stamtąd przysło.

Psy z całego Wrocławia się zlecieli i dawaj tych nieboszczyków tarmosić. Nie podobało się to Bolkowi, złapał kamienia i krzyczy: „A pódziesz, paszli jeden z drugim. Portujecie się, pieska wasza niebieska, i siarkie na robaki trzeba wam będzie kupować!”



Na te pamiątkie ten plac po dziś dzień nazywa się Psie Pole.

Kochało się wojsko w Krzywoustem, i on nawzajem dbał o nich nadzwyczaj. Jak na tem Psim Polu jeden rycerz prawe rękę stracił, ale nie wyszedł z fasonu, tylko w lewą pałasz złapał i grzał szkopów dalej, król mu potem sztuczne rękę całą ze złota sprawił.

Troszkie miał potem ten rycerz zmartwienia z tą górną końcówką, bo się bojał, żeby mu jej nie ukradli. Zwłaszcza w Warszawie, jak w hotelu nocował - kładł ją pod poduszkie.

Ale co z tego, że Krzywousty wszystkie wojny wygrał i Szczecin dla nasz zdobył, kiedy niezgodne dzieci spadek zmarnowali.

BOLEK WYPROSTUJ SIĘ

O czymże, panie Teosiu, opowie pan dziś w swoim kolejnym wykładzie z dziedziny historii - zagadnąłem pana Piecyka, gdyśmy się zgodnie z umową spotkali na piwie, w barze „Pod Marynarzem” na Pradze.

- Dzisiaj będziesz pan miał zaszczyt usłyszeć znowuż o Bolesławie Krzywoustem, a także samo nadmienienie parę słów na konto Łokietka Władysława, którego był niedużem facetem, ale koniec końców największych chojraków wykołował i za króla się został, ale o tem potem.

Na razie zajmij się Krzywoustem, którego na nazwisko miał, tak jak cała rodzina, Piastuszkiewicz, tylko że stale i wciąż nie w humorze chodził i fatalnie niezadowolony był, szwagrowie i koleżki Krzywy Bolek go nazywali, ale nam nie wypada o historycznym facecie w ten deseń się wyrażać, bo za to można sobie w razie czego posiedzieć. Dlatego też właśnie pod tytułem Krzywousty musimy go tutaj tam i nazad przerabiać.

„Bolek, co ty się krugom krzywisz jak po occie siedmiu złodziei. W lustrze się przejrzyj, jak pragne zdrowia, wyprostuj się, bo ludzie się z nasz śmieją” - żona mu nieraz zaznaczała. Ale ten nie i nie, tylko chodził z taką twarzą, jakby przed chwilą cytrynę opchnął.

„Jakże mam się nie krzywić, kiedy dzieci mam cholere warte. Bez przestanku się między sobą naporzają, bo każdy chce za króla być po mojej śmierci. Co tu zrobić, jak pragne zdrowia, żeby zgoda w rodzinie była?”

Truł się tem niemożebnie i coraz więcej się wykrzywił, aż koniec końców podział Polski między synów skuteczną. A miał ich do cholery i trochę.

Władek, najstarszy, jako że największe wydatki miał, dostał Śląsk z węglem. Drugi, po ojcu Bolesław, że był równy chłopak i niemożebny cwaniak, Warszawę otrzymał - chodziło o to, żeby go warszawiaki szanowali. Lebiegi i frajera nie można było tam posłać, boby towarzyską drakie z niego Warszawa odstawiała. Oprócz tego otrzymał jeszcze od starego Ciechocinek.

„Kąpiele męskie i damskie sobie założysz na romantyz - powiedział mu ojciec. - Ładną forszę będziesz na tem zarabiał.”

Tak też zrobił i nie tylko kąpiele prowadził, ale jeszcze słone wode, co w wannach zostawała, po dziesięć złotych za szklankie do picia sprzedawał w charakterze środka leczniczego. Taki był czarodziej i przytomniak.

Mieciuk, średni, dostał Poznań, Młodsze bracia mniejsze miasta otrzymali, jak: Grójec, Garwolin, Wołomin, Kobyłki, Falenice i temuż podobnie.

Rzecz jasna, że taki chłopak, którego Mrozy albo Mordy czy inszy Cegłów otrzymał. gdzie półtora mieszkańca było i z podatku lokalowego dwieście złotych na raty można było z bidą ściągnąć, żal miał do braciszka, co Warszawę czy Kraków otrzymał, i gdzie mógł, kija na niego łapał.

Zrobiła się z tego choleryczna niezgoda i ogólna wyprzedaż spadku Czechom i Niemcom.

SZEMRANA AGNIESZKA

Musiem sobie powiedzieć, że nasze przodki za dużo sobie z królami pozwalali. Sztywny był troszkie w kolanach król Władysław, już go cholery - Laskonogiem zrobili. Czerwienił się drugi, jak się kto przy niem dwuznacznym słowem odezwał albo dziewczynka na plantach w Krakowie perskie oko do niego zasunęła, zaraz mu łatkę przyczepili - Wstydlivy. Jak był blondyn - to Biały, świński kolorek o niem mówili, a jak bronet, to znowuż za Czarny jem się wydawał. I tak o wszystkich. Brode zapuścił, od razu mu tytuł dorabiali Heniek Szpicbródka. Włosy się królowi mało wiewa kręcili, Bolesławem Kindzirowatem się zostawał.

A to dlatego, że cenzury wtenczas nie było i... tego co pan wiesz, a ja rozumie.

A w ogólności to, Bogiem a prawdą, cięty jestem na nich mocno, że zaczem razem w zgodzie żyć, grandy między sobą toczyli i te nasze kochane Polskie do wiatru wystawiali i braciszek na braciszka zagranicznych facetów napuszczali.

Ale chwilowo zaznaczem parę słów na konto czterech synów Krzywoustego.

Władek, najstarszy, chociaż najlepsze miasta otrzymał, miał życzenie wszystko młodszemu braciszkom zabrać, ale przedtem musiał ich wykołować. Rzecz jasna, że chłopaki spomknęli się między sobą i mówią:

„Do Miećka jadziem, do Poznania i niech Władek spróbuje tam za nami przyjść - ręka noga mózg na ścianie!”

I faktycznie tak się stało, nadleciał Władek z wojskiem pod Poznań, a braciszki wyskoczyli i taki wszystka trzech dali mu wycisk, że nosem się podpierał i do Wiednia zmiatał na skargie do teścia, którego był jakiś austriacki hrabia. Zamelinował się w tem Wiedniu na amen i bojał się nosa do Polski pokazać, żeby mu młodsze bracia czasem łomotu nie powtórzyli.

A u nasz temczasem za króla się został młodszy od niego o rok Bolek, tak zwany Kindzirowaty. Jak się zastanowić, to musieli faktycznie nasze przodki dawać jem takie różne przezwiska, bo inaczej nie doszliby z temy królowy do mety, nie porozbieraliby się w nich, bo w przeplatankie co drugi albo Bolesław, albo Mieczysław się nazywał. Kalendarza widocznie przyzwoitego ze wszystkiemi świętymi nie mieli.

Otóż więc jak ten Kindziorek nastał, tyż nie było w kraju spokojności, bo bratowa fokstrotka, niejaka Agnieszka, stale i wciąż Władka bontowała, żeby nazad na tron się wmeldował. Ale Bolek nie dał się z posady wysiadać i list do Wiednia do brata wysłał, a w niem w te wyraził się słowa:

„Powiedz, Władziu, tej swojej szemranej małżonce, żeby przestała szurać i polityką się zajmać, a więcej domu pilnować, a zwłaszcza kuchni, bo jakżeśmy przed wojną na święta u wasz w gościach byli, włos w czerninie znalazłem. I o wiele ty jej tego nie przetłomaczysz w swojej osobistej osobie, do Wiednia będę zmuszonym przyjechać i parę słów prawdy jej zaznaczyć, ale się boję, że wtenczas nie tylko jej tatuś, hrabia, ale i wujo, sam niemiecki cesarz, coś niecoś po krzyżu przy okazji może oberwać, bo nie sam się tam wybrać zamiaruje, ale w towarzystwie paru osób wojskowych.”

Władek pokazał, ma się rozumieć, ten list Agnieszce, a ona z miejsca poleciała z niem do cesarza. Szkop się cholerycznie obraził i o mały figiel do wojny nie doszło, ale w tem trakcie Władek zakitował i Kindziorek dobrowolnie oddał sierotom, co się po niem zostali, na odczepnego Śląsk. Podzielili się między sobą niem, jeden wziął Wrocław, drugi Legnicę, trzeci Cieszyn i temuż podobnie. A matka, ta właśnie Agnieszka, na foksdójców ich wychowała i w ten sposób na pareset lat żeśmy te miasta stracili i dopiero niedawno ich nazad dostaliśmy.

Po Kindziorku, niech z Bogiem spoczywa, nastał trzeci syn Krzywoustego, apiać Miećek. Ten znowuż nazywał się Stary, bo brode do pasa sobie zapuścił, żeby mieć powagę w rodzinie i żeby go się wszyscy słuchali. Z tą brodą niemożebnego waźniaka zagrywał, wojsko i urzędników państwowych krótko trzymał i za byle co do mamra ich pakował. Zgniewali się, ma się rozumieć, koniec końców, powyższe czynownicy miarodajne i mówią:

„Dokądże on tu nam będzie świętego Mikołaja z tą brodą odstawiał? Musowo mu ją obciąć, wtenczas się pokaże, że to młodziak, którego nasz powinien się słuchać.”

No i, ma się rozumieć, uradzili, że którego dnia na większy ochłaj go zaproszą pod zimne zakąski, a jak się zagazuje na beton, fryzjer zza firanki wyskoczy, raz-raz brodę maszynką mu ostrzyże, przyogoli go, włosy obetnie na grzywkie i w ogólności z Mieczysława Starego w dziesięć minut Mietuchne w poborowym wieku wyszykuje. Ale nic z tego nie wyszło, bo król był nietronkowy, przez całe przyjęcie tylko szklankie herbaty z cytryną wypił. A te, uważasz pan, spiskowcy same zaleli się w drobną krakowską kaszkę i tak na Wawelu rozrabiali, że Mieczysław zmuszonym był ich przymknąć do wytrzeźwienia w łazience.

Ale się koniec końców i tak nam na niem odegrali, korone, berło i jabłko papierówki, które królowie zawsze w rękę trzymają, odebrali.

Odszedł Mieczysław, przyszedł Kazimierz, nazwany Sprawiedliwym, bo Ministerstwo Sprawiedliwości założył, podatek obrotowy od podkręcania wąsów zmniejszył i temuż podobnie.

„Ale za to cały państwowy interes po najdłuższym moim życiu na syna mojego, Leszka, przejdzie i żadne tam cioteczne bracia, przyszywane kuzyni i inne szamrane sierotki po wujaszkach z prowincji nigdy mu podgrymaszać nie będą.” - Takie postawił żądanie i musieli mu to dać czarne na białem.

Chciał w ten sposób znowuż zebrać całą Polskę w jednym rękę, ale cóż - po jego śmierci dalsza rodzina znowuż szurać zaczęła.

LESZEK POPRAW KORONĘ

*Helena w stroju niedbałym
Syna trzyma u łona,
Co go zwano Leszkiem Białym.*

Jak się można domyślić, ta Helena z tej starożytnej piosenki to była wdowa po nieboszczyku Sprawiedliwym, która w Sandomierzu na letnim mieszkaniu się znajdowała z dzieckiem, a w Krakowie znowuż do głosu doszedł Mieczysław Stary, znaczy się stryjo Leszka.

Po śmierci brata jeszcze dłuższe brode zapuścił i mówi do wdowy żałobnej:

„Niech się Helcia nie przejmuje, proszę Helci, ja się Helcią zajmę i także samo, ma się rozumieć, dzieckiem. Dopilnuję całego królewskiego interesu jak się należy, bo się na tem znam, ładne parę lat sam się w tej branży zatrudniałem. A jak Leszek dorośnie, nazad firmę się na niego przepisze, a ja ameryture sobie przez ten czas wysłużę.”

Helena zajęta była kapeluszem z krepą i czarną suknią na pogrzeb, to nawet i nie bardzo słyszała, co szwagier do niej mówił. Kiwnęła tylko głową i poleciała do krawcowej. A Stary koronę z komody wyciągnął, założył na głowę i dawaj rządzić po swojemu. A że był, jak już wiemy, facetem oszczędnościowym, tak w krótkim czasie wdowę zaograniczył, że pończoch nie miała sobie za co kupić. Do wszystkiego się wtrącał, do kuchni łąził, a jak z miasta wracała, na karteczce musiała mu detalicznie wydatki spisywać: ile cebula, ile buraczki, ile listek bobkowy. Jednym słowem, jak kuchcie o koszykowe podejrzone ją traktował.

Ma się rozumieć, Helena koniec końców spakowała manatki, dzieciaka na rękę i pojechała do Sandomierza, gdzie wилie po nieboszczyku miała. Ponieważ że zaraz pierwszego dnia z aptekarzową się pokłóciła, nie bywała nigdzie, całymi dniami z Leszkiem przy piersi siedziała i niemożebnie się opuściła. W niedbałym stroju, czyli że rozmamłana do rosółu, w szlafroku pospinnanem na agrafki, nie uczesana, w jednym pantoflu się znajdowała. Ale Leszek w tem trakcie zaczął podrastać i trzeba go było zacząć uczyć. Zgodziła, ma się rozumieć, do niego nauczyciela, którego korepetycji mu udzielał. Ten nauczyciel nazywał się... zaraz, czekaj pan, bo zapomniałem... Faworek nie Faworek, Gąsiorek nie Gąsiorek.

- Może Goworek? - podrzuciłem.

- Zgadłeś pan, Goworek, tak jest. Otóż więc ten Goworek tak się tem dzieciakiem zajął, że nie tylko kaligrafii, artmetyki i polskiego go uczył, ale także samo za całego opiekuna przy niem był. W sobotę szyje mu kazał myć, sztorcował za obgryzanie paznokci i w ogóle wychowywał.

A w Krakowie temczasem zaczęła się ludność bontować na Mieczysława Starego i w krótkim czasie popęd mu dała. Zrobiło się tak zwane bezkrólewie i przypomnieli sobie Polacy, że w Sandomierzu mieszka Helena w stroju niedbałym z Leszkiem. Przyjechali w parę osób w charakterze delegacji i mowę zawałają, że mają życzenie Leszka za króla wybrać, ale pod tem waronkiem, że Goworka za sobą nie zabierze.

„Dlaczego?” - pyta się Helena.

„Nie podoba nam się.”

„Ale detalicznie z jakiego powodu?”



„Detalicznie rozchodzi nam się o to, że kompromitacje może skuteczniać.”

„W jaki sposób?”

„A w taki, że zanadto jest przyzwyczajony króla tresować. Za tronem stale i wciąż będzie stał i uwagie mu zwracał: Leszek, nie garb się, Leszek, nie dłoń w nosie, Leszek, popraw koronę. Nie, nie mogę się zgodzić, musi zostać w Sandomierzu.”

„No, to w taki sposób i Leszek nie pojedzie.”

„Jak nie, to nie. Myśli pani szanowna, że króla sobie nie znajdźmy? Laskonogi się prosi, odstępnę nam daje, żeby go tylko wiaść.”

„No, owszem, jeżeli panom się podoba taki bocian na sztywnych nogach, to proszę bardzo.”

„Bocian nie bocian, spróbować można. A pani szanownej radziemy liczyć się ze słowami, bo za obraze władzy można sobie czasem nienajgorzej posiedzieć!” - I obrażone wyszli.

Wzięli faktycznie za króla tego Laskonogiego i odżałować nie mogli, bo fatalnie wzięli ich za twarz. A trzeba panu szanownemu wiedzieć, że był on synem Mieczysława Starego i kropka w kropkę, co pod względem charakteru, do taty podobny - wazniak, honorowy taki, że z nikim się wódki nie napił, a już najgorsze to, że duchowieństwu się naraził, bo biskupów sam naznaczać zaczął. Różnych swoich koleżków i znajomych z widzenia niemi porobił i zdarzali się wskutek tego wypadki, że biskup okazywał się człowiekiem żonatym i ojcem sześciorga dzieci. Siedmiu grzechów głównych nie umiał taki czasem po kolei wyszczególnić, nie mówiąc już o czterech prawdach, czyli pięciu przykazaniach kościelnych, bo to byli przeważnie faceci wojskowe mało w katechizmie oblatane.

Spomknęli się nareszcie księża z wyższymi urzędnikami państwowymi i zrobili Laskonogiemu eksmisję z Wawelu. I zaraz delegacje po Leszka Białego pchli. Wsiadła delegacja na statek „Chrobry” i zapycha do Sandomierza. Przychodzą do Heleny w stroju niedbałym i znowuż zapytanie jej robią:

„Czy pani szanowna w dalszym ciągu się przy tem Goworku upiera?”

„Wiadomo.”

„Mówi się trudno, pies z niem tańcował, niech pani szanowna temczasem leci do fryzjera, onolacje każe sobie poprawić, bo główka faktycznie rozkuciudłana, no i podszykuje się troszkie pod względem tego stroju. My zaczekamy, jak wszystko będzie gotowe, jadziem całym towarzystwem do Krakowa na koronację.”

Helena poleciała, a oni Goworka na bok bierą i mówią:

„Panie Gie, pojedziesz pan z Leszkiem do stolicy, ale szanuj się pan, do polityki się pan nie wtrącaj, bo może być grubsza nieprzyjemność.”

Przyszła nareszcie Helena od fryzjera, ochajtnęła się troszkie i na statek.

Panował Leszek Biały, jak to mówią, szczęśliwie, bo chłopak był niegłupi i smykałkie do rządzenia miał, tylko że za bardzo Goworka się we wszystkim słuchał, z byle czem do niego po radę leciał. Dwa palce w górę podnosił i się pytał: „Panie psorze, czy mogę iść na ślizgawki? Panie psorze, Krzyżaki zanadto rozrabiają, czy można im dać knoty?” Panie psorze to, panie psorze tamto. Nie można powiedzieć, Goworek nawet nienajgorzej mu radził, tylko że na starość był przygłuchy i różne nieporozumienia z tego wychodzili. Leszek mówił o juszce, a ten o pietruszce.

Nie kazał mu się Goworek wtrącać, jak się stryjeczne bracia między sobą o miasto Poznań kłócili, a on nie mógł się z nim dogadać, krzyczył mu do ucha i krzyczał i nic z tego nie wychodziło. Machnął nareszcie ręką na Goworka i pojechał ich godzić.

A to były wyjątkowe, uważasz pan, dranie, rade familijną z większym ochlajem urządzili i jak Leszek do łaźni poszedł, żeby para ankoizmu mu z głowy odciągnęła, i na namydlonej podłodze się poślizgnął, rzucili się na niego i życie mu odebrali. Przykre.

CAŁE ŻYCIE SIĘ WSTYDZIŁ

Po tem nieszczęśliwym wypadku w łaźni i pogrzebie Leszka Białego przepisowo powinien się za króla zostać syn jego - wiadomo - znowuż Bolesław, którego, żeby się z innymi nie miewał, przodki nasze zmuszone byli Wstydlivem nazwać.

Powinien, ale nie mógł z powodu młodego wieku. Faktycznie, król przy piersi z grzechotką w rękę swojej powagi by nie posiadał. I znowuż jakiś wujo za niego rządził, także samo z brodą. Ten już taki pagrypsny zarost nosił, że Hendrykiem Brodatem go ochrzczili.

Nie można powiedzieć, w miarę możliwości starał się nawet, normy nie rzekraczał co prawda, ale plan jako tako skuteczniał, tylko że szkopów do cholery i troche na Śląsk nam nawpuszczał. Ale w krótkim czasie umarł i dzierzawe tronu zdał na syna, także samo Hendryka, którego znowuż nadzwyczaj modlić się lubiał i stale i wciąż

po kościołach przebywał, no to koniec końców w charakterze Pobożnego przeszedł się, jak to mówią, do historii.

Nie miał Pobożny szczęścia, bo jak raz niejaki Tatarzy na nasze Polskie napadli. Te Tatarzy to byli, uważasz pan, niemożliwe oprychy, tak zwane bisurmani, czyli wschodnia nawała. Konfekcji męskiej nie uznawali, zima, lato w kozuchach chodzili na gołe ciało. Ma się rozumieć mieszkań nie mieli, w pałatkach jak Cygani sypiali i pracować jem się nie chciało. Mokłą robotą na życie zarabiali - jednym słowem, bandziory pierwszej gildy. Właściwie, po co jem było z kodeksem karnym zadzierać, nie wiadomo, bo nawet tronkowe nie byli. Czystą wache tylko pili, a jak któren wypadkowo miał apetyt na mleko, to konia drań wydoił, nie krowe, i na siadłe odstawiał. A na zakąsce, patrz pan, się znali, bo każdy przyzna, że pod jeden głębszy do tej pory nikt nic lepszego jak bepsztyk po tatarsku z kaperkami i jajeczkiem nie wymyślił. A co pan chcesz od takiego sosu tatarskiego do zimnego mięsa - zły wynalazek?

- Świetny - potwierdziłem z zapalem.

- Ale nie siadłe mleko, panie szanowny. Otóż więc jak te bandyciaki zrobili na nasz napad, Pobożny zaczął się z wojskiem bronić, ale czy religijny facet mógł poradzić zawodowemu łobuzom? Życie pod Legnicą stracił, a Tatarzy jeszcze pare razy do nasz przyjeżdżali, ale już za Bolesława Wstydlwego, któren w tak zwanem międzyczasie odrósł i królewski interes pod swoją własną firmą prowadzić zaczął.

Dużo zmartwienia nasze rodaki z niem mieli, bo wszystkiego niemożliwie się wstydził. Jak pensje mu kasjer wypłacał, czerwieniał się cały, jak podatki trzeba było podwyższać, mało się ze wstydu nie spalił. Teraz by się taki przydał prywatnej inicjatywie, co?

A najgorzej to było z małżeńskim stanem. Wąsy zaczęli mu się puszczać, no to, ma się rozumieć, ministrzy mówią, trzeba go ożenić z jaką zamożną panną, bo posag się Polsce przyda. No, tak jest, ale któraże panienka za niego wyjdzie, przecież on się będzie krugom całe życie wstydził i w ten deseń o następcy tronu nie będzie mowy?

Ale koniec końców ryzyk-fizyk - miał król węgierski pare córek, pojechali do niego. Przywieźli fotografie wszystkich, pokazują Bolkowi po kolei.

„No, jak się waszej królewskiej mości ta broneta podoba?”

Rzucił Wstydlwy okiem, szcerwieniał się jak piwonია i mówi:

„No, owszem, niczego sobie.”

„A ta szatynka?”

Opuścił Bolek oczy, krew mu na policzki wystąpiła i mówi:

„I ta obleci.”

Z trzecią to samo było. No, to widzą nasze przodki, że nie ma z niem o czym gadać, same mu wybrali najmłodszą, święte Kingie.

„Święta z niem chyba wytrzyma.”

Jakoś się zaręczył i ożenił. Po Ślubie król węgierski pyta się go:

- A co by zięć chciał, prosze zięcia, w posagu, gotówkie czy towarem jakim?

A ten się tak zawstydził, że słowa nie może przemówić. Wtenczas święta Kinga poprosiła swojego starego o sól. Dał jej od razu całą kopalnię. Ale ona podobnie wrzuciła pierścionek do kopalni, a potem w Wieliczce kazała ziemie kopać i pokazało się, że tam sól była, a w soli ten pierścionek się znalazł.



Nie zostawił Wstydlivy dzieci po sobie i jak umarł, znowuż potomki po synach Krzywoustego zaczęli się między sobą niewąsko kołować.

ŁOKIETEK PODPALIŁ RZYM

Tak byłodo czasu, aż wnuczek któregoś z tych braci do poborowego wieku nie doszedł.

Ten właśnie Władek, którego Łokietkiem nazywali, bo małoletniego wzrostu był. Niemożebnie się z niego wszyscy nabijali. Jak przechodził, różne łobuzy krzyczeli za niem:

„Te, półmetry, jak się masz!”

Rzecz jasna, było mu bardzo nieprzyjemnie i postanowienie zrobił, że musi się na nich odegrać. W tem celu do miasta Rzemu się wybrał, gdzie za króla w tem czasie był niejaki Neron. Zaczął tego Neronu bławować i prosić, żeby mu pomógł nieprzyjacieli z Polski przegonić. Ale Neron był straszny oliwa. Stale i wciąż na gazie chodził, do wiersza mówił i piosenki śpiewał. Raz się tak zagazował, że miasto Rzem podpalić kazał. Sam naobkoło chodził, na bałabajce podgrywał i strażakom gasić nie pozwalał.

Widzi Łokietek, że nieklawo. „Nie tylko ten kizior mnie nie pomoże - myślał sobie - ale jeszcze mogię mieć fatalne sprawę w doraźniaku o podpalenie miasta do spółki z Neronem”. No i, ma się rozumieć, żywo wsiadł na furmankie i chodu z miejsca przestępstwa.

- Panie Teosiu, czy pan czegoś nie poplątał czasem? - przerwałem wykładowcy potok wymowy. - Wydaje mi się, że za czasów Łokietka Neron był już bardzo starym nieboszczykiem.

- Jak pan lepiej wiesz, to czego się pan mnie pytasz? - obraził się pan Teos i mimo że usiłowałem go udobruchać, nie chciał wznowić wykładu.

Wypiliśmy tylko większe piwo i rozeszliśmy się poróżnieni.

Dopiero po kilku dniach udało mi się udobruchać go i nakłonić do dokończenia wykładu:



- Troszkę mnie jest przykro w dzisiejszym czasie o tem nadmieniać, ale czeski król, niejaki Wacek Pepiczek, spomknął się z którymś Piastuszkiewiczem i ofensywę zaczął przeciwko Łokietkowi, który już z Rzemu wrócił i do kupy zaczął Polskie zbierać. Na dobytek w Krakowie foksdojczy się zbontowali, których tam było do cholery i trochę i zaczęli fatalnie rozrabiać. Dalsza rodzina także samo zaczęła tak Łokietkowi dokuczać, że zmuszony był na prowincje wyjechać.

Dłuższy czas na letniakach w Olkuszu wtenczas przebywał i za lewą kienkartą się ukrywał. Ale że go mocno szukali, do Zakopanego się przeniósł i w górach w jakiejś dziurze siedział.

SL i „Wici” się niem opiekowali i żywność, a także samo gazetki mu dostarczali. A on nic, tylko stale i wciąż się pytał, co tam słycać w Krakowie.

„Łapanki, proszę króla, jak wielkie nieszczęście - z mieszkań bierą, wszystko jest «nur foksojczę». Foksy nie robią, tylko po całych dniach u Majnla w ogonkach stoją, cytryny nie cytryny kupują.”

A król się odezwał w te słowa:

„Aby do wiosny, jeszcze ja się na nich, na jeża strzyżonych, odegram, przez kij będą u mnie skakać!” - I tak tyż się stało.

Na razie nasze przodki byli zadowolnione, bo tam, gdzie Wacek wszedł, „Bate” w każdym mieście założył i czeskie skoki po przydziałowej cenie sprzedawał bez ogonka. Ubrali się wszyscy jak lalki i wałaj na spacer w aleje. Ale po jakimś czasie zaczęli grymasić, że buty maszynowe, że kolor zlaźł i temuż podobnie. A najgorsze było to, że słonina drożała, bo niemożliwy szmugiel przez granice się zaczął.

Na wiosnę Łokietek zaczął powstanie. Foksojczów w Krakowie niemożliwie wykołował, potem dał fest bańki szkopom, ze szwagrami, braciszkami i dalszą rodziną się pogodził, na końcu zrobił sztamę z Czechami, że już po wieczne czasy za bratanków się zostaniemy. Bo faktycznie, nie ma się o co kłócić, wy macie „Bate”, a my mamy słoninę i możem niewąsko zahandlować!

A jeżeli o wiele będziemy mieli chęć kogoś ponaparzać, to bardzo poręczne pod tem względem są niejaki Krzyżacy, które zaczęli już wtenczas Polsce i Czechom podgrymaszać.

Krzyżacy to byli także samo szkopy, tylko że w komżach.

Ale dzisiaj już nie chce o nich mówić, bo nie lubie na noc o draniach wspominać, publicznem słowem przez sen się potem wyrażam i żona ma żal do mnie, że się dzieci gorszą. NA KLINA DO WIERZYNKA

Dzisiaj zmuszeni jesteśmy się zająć tak zwanem Kaźmierzem Wielkiem.

Dlaczego „Wielkiem” go staroświeckie rodaki nasze nazywali, tego wiedzieć nie możem. Rzecz możliwa, że był to kawał chłopca, jak to mówią - podstawny mężczyzna, a możliwe tyż, że był facetem honorowem, z byle łachmytą nie miał życzenia się zadawać i obcięte fatalnie koleżki mówili do niego: „Kaziek, nie bądź znowuż taki wielki dla nasz!” I tak zostało.

Ale faktycznie jak było, tak było, dosyć na tem, że w charakterze króla tak się prowadził, że nie da się powiedzieć marnego słowa. Przede wszystkim smykałkie do handlu miał niemożliwą, a także samo do budowlanej branży dryg odczuwał. BOS wtenczas jeszcze nie egzystował i król sam musiał budowy pilnować i z mularzami się użyrać, totyż budował bez planu, ale za to troszkie prędzej.

Niezależnie za świeżem powietrzem przepadał i stale i wciąż za rogatki na spaceru uczęszczał. Ażeby tajniaków nie fatygować obstawianiem szosy, królewskie pereline, korone, berło i tem podobne otensylia w domu zostawiał, a sam w łowickim narodowym stroju w charakterze grząsia, czyli tak zwanego wieśniaka po wsiach chodził i gdzie się dało na kwaśne mleko z młodemy kartofelkami wstępował.

W ten deseń detalicznie wiedział, co ludzie na szcrot polityki mówią i na co się skarżą. Niezależnie do Samopomocy Chłopskiej się zapisał i dwie działki w Krakowie pod Wawelem osobiście uprawiał, chociaż przed wojną pęczek rzodkiewki pięć groszy kosztował i cała ta robota nie wytrzymała karkulacji.

A to wszystko dlatego, żeby „królem chłopów” się zostać. I faktycznie mu się udało.

A w ogólności pies był na robote - zimową porą, jak budowa z powodu mrozu stała, karalny kodeks wieczoramy pisał, żeby sędziowie wiedzieli, jakie kare za co nałożyć.

Osobno musieli być uwzględnione: szopenfeld, pajęczarstwo, lipkarstwo, kradzież „na wydrę”, „na szpryng”, „na pasówkie” i temuż podobnie. Osobno obraza władzy, zabradziazenie publicznego spokoju i zarzymanie kołowego ruchu w pijanem widzie - i tak dalej. Niewąski kawałek roboty z tem miał i ładne pare lat te książki zestawiał. Później Napoleon ciągnął dalszy do tego dopisał.

Bogiem a prawdą, troszkie za dużo tych paragrafów namachali i szary człowiek, któren niedużo siedział, cholerycznie w życiu musi uważać, żeby się na jaki nie nadziać.

Ale mówi się trudno, porządek musi być.

- No, dobrze, panie Teosiu - przerwałem - a może by pan teraz powiedział coś niecoś o życiu prywatnym tego króla. O jego legendarnej miłości do...

- Owszem, mogię. Obszczekuje się już paret lat tego króla, że na konto wolnej miłości był duży kozak. Że podobnież jednego razu na letniakach pod Puławamy się znajdując, gdzieś na dancingu niejaką Esterkie zapoznał, że sklep galanteryjny jej otworzył i kolekturę loterii „szukasz szczęścia, wstąp na chwilę”...

Ale to jest zwyczajna antypaństwowa plotka i „dycha” się za to należy bez zawieszenia i amnestii. Ale o wiele nawet tak było, to co to, królowi nie wolno?



Skoro jeżeli u nasz na Targówku jeden tramwajarz magle kochance kupił, to król na kolekturę nie może sobie pozwolić? Pokaż mnie pan to w ustawie! - zaperzył się wykładowca. I dopiero po moim usprawiedliwieniu się, że absolutnie nie widzę w tym nic niewłaściwego, że rozgrzeszam absolutnie, zarówno tramwajarza, jak i króla, mówił dalej:

- Także samo nie spodobało się niektórym cholery, że król Kazimierz był podobnie trankowy. I to lipa. Rzecz jasna, że jako leguralny mężczyzna lat czterdzieści parę samem mlekiem żyć nie mógł. I musiał sobie od czasu do czasu z inszemy królamy poważnie podchromolić. Ale nie za często.

Jednego razu, na Zielone Świątki, zjechali się króle i hrabiowie z całego świata, Król Kazimierz, już na gazie, zaprosił na Wawel pół Krakowa. Oprócz doktorów, profesorów przyszło parę osób z prywatnej inicjatywy. Jeden z nich restaurator pierwszej kategorii, niejaki Wierzynek Mikołaj, którego firma do dziś dnia w tem samem miejscu na Rynku egzystuje, zaprawił się na cacy i dawaj z podgazowanymi królami bruderszafty odstawić.

Przytracił Karola do stołu, nalał dwie setki i krzyczy:

„Karol, gazu i buzi, mów mnie Kolka, nie obrażę się!”

Przytracił Ludwika Węgierskiego, mordy mu funduje i barłóży:

„Lutek Papryka, jak pragnę zdrowia, daj pyska!”

I tak wszystkich oblatwił, a potem na stół wskoczył i mowę zawala, że na Wawelu nie wypada przyzwoitej rozróbki przeprowadzić, bo kościół przez ścianę, w taki sposób zaprasza całe towarzystwo na klina do siebie do interesu. Ma się rozumieć, nikt grosza nie płaci, wszystko idzie na rachunek gospodarza. Nie wolno tylko bufetów przewracać, bo z bieżącą wodą do płuczek podłączone i pęknięcie rury może nastąpić.

Króle na razie się obrazili, najwięcej cesarz mordę odał i mówi, że za cholere nie pójdzie, ale król Kazimierz był swój chłop, w deche, i mówi:

„Dobra, idziem, Kola, do ciebie, nawet będzie bezpieczniej, bo tu tylko patrzeć, jak się królowa obudzi i kota nam popędzi, zwłaszcza że poniekąd cięta jest jeszcze na mnie o Esterkie.”

I ma się rozumieć, całe towarzystwo w derożki i na rynek.

Jak sie tam podbawiali, jasny dowód w tem, że Wierzynek tak się wylakierował, że nie tylko całe nakrycie, wszystkie talerze, półmiski, salaterki, ale urządzenia kuchenne między gości rozdał. Cesarz wyniósł maszynę do gorących zakąsek...

RUDY BIBER POD GRUNWALDEM

Ponieważ że z Piastuskiewiczami już się oblecieli, możem teraz pobarłóżyć sobie troszkie na konto drugiej naszej królewskiej rodziny, czyli tak zwanych Jagiellońszczaków, które po Kazmierzu Wielkiem przejęli cały ten nasz państwowy majdan. Nie można powiedzieć, w ogólności chłopaki byli równa, a zwłaszcza poniekąd sam Jagiełło, który pod miastem Gronwaldem historyczne knoty dał Krzyżakom.

Otóż, uważasz mnie pan, ten Jagiełło nie od razu za króla polskiego się został, tylko się jako kawaler, jak to mówią, wzenił w interes. Królową była u nas w tem czasie jedna panienka na wydaniu, niejaka Jadwiga. Ponieważ że posag miała niewąski, a także samo osobiście dała się lubić i bardzo jaj było twarzowo w koronie, starających się miała do nagłej krwi i trochę.

Oprócz Jagiełły między innymi uderzał do niej jeden szkopiak z Wiednia rodem, niejaki Wiluś, bo oni, cholery, przeważnie Wilusie.

I tu z przykrością musiem zauważyć, że na razie Jagiełło był u Jadwigi fatalnie przegrany. Wiluś ładnie się nosił, łeb miał stale i wciąż zaondolowany, walczyka wiedeńskiego ładnie odstawił. „Usta milczą” i „Nad mądrym Dunajem” cienkim głosem Jadwidze śpiewał i różne prezenta jej odpalał, po większej części bukiet z samych róż i kolońskie wode z potrójnym zapachem. Dla przyszłej teściowej znowuż butelkie gorzkiej wody „Franciszka Józefa” zawsze miał przy sobie.

A Jagiełło, mężczyzna poważny, w średnim wieku, jak już przytargał coś z sobą, to albo dwa kila litewskiej kiełbasy, albo literek żubrówki z trawką w środku.

My oba wiedzielibyśmy, co z tem zrobić, ale Jadwiga wołała kolońskie wode. Rzecz gustu i nie będziem jej za to pod krytykie brali.

Totyz Jagiełło, któren do Krakowa ze swoim stryjecznym braciszkiem, Witoldem z Wilna, w konkury przyjechał, na ksiutach pod Floriańską Bramą nieraz ją z tem wiedeńskim ancymonkiem nakrywał. Aż koniec końców się zgniewał, przyszedł na Wawel i mówi do Jadwigi:

„Widzę, że to panna Dziunia balona z tem szkopem ze mnie odstawia, to w taki sposób mówi się trudno i wysiadka! O królewskie posade mnie się nie rozchodzi, bo u siebie w Wilnie, Bogu dzięki, mam co zjeść i wypić i krakowska kuchnia, poza jedną może kiełbasą, nie powiem, żeby znowuz taka ważna była.

Rozchodziło mnie się o to, żeby Litwinów pochrzcic, które za poganów do dziś dnia chodzą i wstyd mnie w towarzystwie robią, bo jak się należy świętych nie mają, tylko do różnych węży się modlą. A co to za święty, któren człowieka podczas nabożeństwa w pierwsze krzyżowe może ugryźć, tak że w krótkich abcugach zakituje.

Ale trudno się mówi, niech tam moje rodaki w dalszem ciągu do węży litanie odmawiają, do choinek w świętych lasach się modlą i u wajdelotów zamiast u naturalnych księży spowiadają, milcz serce i moje uszanowanie, idę na stacje po bilet do Wilna dla mnie i dla braciszka.”

A trzeba panu szanownemu wiedzieć, że Jadwiga była nadzwyczaj pobożna i ogromnie się temy wężamy martwiła, totyz przykro jej się zrobiło i zgodziła się za Jagiełłowe zostać. Z miejsca Wilusiowi kota popędziła. Mentryki w parafii wyrobili, wyciągi z ksiąg ludności w komisariacie poświadczyli i był ślub.

Już na drugi dzień Jagiełło wajdelotów do mamra, świętych węży, drani, do zeologicznego ogrodu opylił, a Litwinów dawaj chrzcic. Na zachęte kaźden jeden nowy chrześcijan garnitur i parę kamaszy otrzymał. Przydziałowe to byli kompleta z felerkami, ale zawsze lepsze niż skórki królików, w których przedtem Litwini chodzili. Jak ją pan naciągnęś na przód, to z tyłu panu cielesna autonomia wyłąziła, a na odwrot jeszcze gorzej.

Wiluś, łachudra, ciety, że mu się taka partia wymkła, bo już był pewny, że się na Wawel wtranzoli i co się da z mebli, a także samo lanszaftów do Niemiec wywiezie, poleciał na skargie do Krzyżaków.

Krzyżaków także samo cholera ciskała na te małżeństwo, bo zamiarowali Polskie i Litwe po kolei wykołować, a teraz bojeli się, że same poważny wycisk od Jagiełły mogą otrzymać. Totyz zaczęli się do wojny szykować. Ale Jagiełło nie frajer, zebrał co się dało wojska i jazda na nich.

Król w pałatce jak raz siedział z Witoldem na polu bitwy pod Gronwaldem, a tu kołdra, co w drzwiach wisiała, się podnosi i dwóch Krzyżaków wchodzi, pierzyne z sobą przynieśli, a na niej dwa pałasze. Król się na famielianta spojrział, a ten znowuz na niego i myślą: „Na cholere oni te pościel tu wnoszą?” A Krzyżaki się uklonili i zaznaczają: „Te pałasze, prosze króla, tośmy na to przynieśli, żebyś się król miał czem bronic.”

Ten Witold był czarny, kindziorowaty i znakiem tego raptus, poderwał się z krzesła i mówi:

„Władek, drakie z nas robią, nie wytrzymam.”

Ale Jagiełło go posadził i zaznacza:

„Tylko bez nerw, ja się tu zaraz z niemy oblece” - i odpowiedź daje, że się te pałasze przydadzą, żeby jem większe knoty spuścić. I tak się stało. Taki dostali wycisk, że zjeżdżali spod Gronwaldu, aż się jem komże wiwali.



Ale nie od razu. Litwini na razie zdrefili i chodu. Jeden Krzyżak z rudą brodą, jak to widzi, dzielił konia nahajem, pike nastawił i leci prosto na króla, którego z boku stał i na bitwę kapował.

- Był to, zdaje się, rycerz niemiecki Dipold Kikerzicz von Dieber - wtrąciłem przypomniałszy sobie nagle zapamiętane jeszcze ze szkolnych czasów dziwne to nazwisko.

- Faktycznie! - potwierdził pan Piecyk - von Biber. I na te pamiątkie każdego faceta z brodą „bibrem” teraz nazywamy.

Nie wydało mi się to prawdopodobne i usiłowałem zaprzeczyć, ale pan Teoś spojrział na mnie surowo i wznowił wykład:

- Otóż, uważasz pan, ten rudy biber zapycha z piką na króla, żeby mu krzywdę zrobić, ale widzi to biskup Zbigniew Oleśnicki, którego stał obok króla, i jak się nie odwinie, jak nie gwizdnie szkopa pastorałem, z miejsca zimnym trupem go położył.

- Zaraz, zaraz, panie Teosiu - przerwałem znowu. - Pan, zdaje się, coś pomylił... Zbigniew z Oleśnicy znacznie później dopiero został biskupem, podczas bitwy grunwaldzkiej i według historyków naszych był „młodym pisarzem królewskim” i nie pastorałem, ale „złomkiem kopii zwałił Niemca z konia na ziemię.”

- Co insze historycy mówią, to mnie nie obchodzi - odrzekł na to chłodno pan Piecyk - po mojemu był biskupem, a ponieważ że duchowieństwo nawet na polu bitwy bez broni się znajduje, musiał go zaprawić pastorałem! Zresztą czem go załatwił, rzecz obojętna, dosyc na tem, że rudy biber z miejsca kojfnął.

Litwini jak zobaczyli, co się dzieje, o mało nie spalili się ze wstydu, że duchowna osoba sama się fatyguje, cafli się nazad i razem z Polakami wykończyli Krzyżaków na cacy!

MAKARONIARZE NAWALILI

No to dziś, panie Teosiu, kolej, zdaje się, na Władysława Warneńczyka, najstarszego syna Jagiełły.

- Zgadłeś pan - odpowiedział mi na to z pewnym zdenerwowaniem pan Piecyk i lekko odchrząknawszy, rozpoczął wykład:

- Zgadłeś pan i między namy mówiąc, mam żal do Jagiełły, że pozwolił się temu chłopakowi tak zmarnować. Po kiegoże cholere puszczał go pod te Warne grzać się z Turkamy i dzieciak życie w ten sposób stracił?

Ale mówi się trudno. A z temy Turkamy to było, uważasz pan, tak, rozmnożyli się faktycznie niemożliwie i wszędzie zaczęło jem być za ciasno, jak później szkopom. Ale inaczej być nie mogło, skoro jeżeli kaźden jeden Turek po kilkanaście sztuk żon posiadał, a niektóre z nich mieli ich do setki.



Nie można powiedzieć, odważne byli faceci. Bo o wiele niejednemu z nasz z pojedynczą najukochańszą cholera wytrzymać trudno, to masz pan pojęcie, jakie trzeba mieć zdrowie z pięćdziesięcioma jednocześnie się używać?

No i forse na pięćdziesiąt par nylonów szykować i pareset dzieci do szkół posyłać. Niezależnie od tego religie mieli przykre, z powodu że jeden głębszy pod pieczony boczek do śmiertelnych grzechów był zaliczony. Za jeden kotlet schabowy z kapustą tysiąc lat po piekle miał się Turek po kojfnięciu poniewierać. A znowuż niebo tureckie, to, uważasz pan, było urządzone jak knajpa pierwszej kategorii z danciem i fordancerkami. Każdy jeden Turek, który przez całe życie ani deka wieprzowiny nie opędzłował i ani razu w gaz nie uderzył, po śmierci dostawał się do tego nieba z wyszynkiem ankoholu do wypicia w miejscu. Tam każdy pobożny turecki nieboszczyk mógł przy stoliku miejsce zająć, po dwie, trzy fordancerki koło siebie posadzić i krzyknąć na aniołków:

„Trzy wieprzowe rozbratle po wiedeńsku z fritkami, literek czystej wyborowej i duże kieliszki, tylko ostro, bo skrzydła poprzetrącam!”

I tak krugom dzień w dzień przez tysiąc lat.

Jeżeli ktoś całe życie tylko bakalie opychał i orzechową chałwą przegryzał, a gazowem kwasem popijał, to masz pan pojęcie, jak się pchał do takiego gastronomicznego nieba, jak mu było pilno zakitować!

W ten deseń na wojne leciał jak głupi i z całym krześcijańskim światem nadzwyczaj lubiał się napażać. Za króla, uważasz pan, te Turki mieli niejakiego Osmana i dlatego wszyscy Osmańczykami ich nazywali. Fatalnie te Osmańczyki rozrabiali na świecie ładne pareset lat, ale koniec końców dostali ciężkie knoty pod Wiedniem od króla Sobieskiego i cafli się do Turcji. Kręci się co prawda jeszcze jeden po Europie tam i nazad, ale krześcijańskiego narodu nie zaczepia, tylko się na szkopach niemożebnie odgrywa. Wojskowo nie służy, tylko się za poete zatrudnia, książki i artykuły o Niemcach drukuje, w których strasznie ich sobaczy i na perłowo ze szlaczkiem objeżdża. Patrz pan, jak sporządzał!

Ale dawniej inaczej bywało. Zobaczyli nasze przodki, że Turki wszędzie się pchają ze swojimi bakaliami, mówią sobie: „Tak dłużej być nie może, nie obejrzm się, jak każdy z nasz będzie miał po parę ślubnych małżonek i każdej jednej zgadze będzie się musiał tłumaczyć, gdzie idzie, skąd przyszedł, gdzie do tej pory siedział i na co mu się pieniądze rozeszli.”

„Krewa, proszę krześcjan” - powiedzieli do Węgrów. Spomknęli się z Włochami z miasta Wenecji i kominują, jak tu Turkom kota popędzić.

„My jem zaleciem od miasta Warny, a wy siadajcie na okręta i zapychajcie na sto dwa do nasz bez morze. Jak przyjedziecie, wyskoczcie z wody i w kuchni ich, chałwą karmionych!” - Tak powiedzieli do Włochów, które były wtenczas narodem handlowem.

Wszystko było na oko załatwione i patrz pan, makaroniarze nawalili. Nie tylko, że same nie przyjechali, ale, taka ich prywatna inicjatywa, wynajęli swoje okręta Turkom, które pod te Warny niemi zasunęli. W ten deseń nie było o czym mówić i chłopak jak róża życie postradał.

Ale nie przejmuj się pan, nie wytrzymało trzysta lat, Sobieski tak się z niemy obleciał, że nie tylko pałatki, konie, czapki jem pozabierał, ale ładne pare kilo świeżo palonej kawy zahaczył, którą ze sobą mieli.

Marysieńka nie umiała jej jeszcze wtenczas zaparzać i nieodcedzoną królowi podawała. Na te pamiątkie pijem do dziś kawę po turecku, to znaczy się z fusami.

Ale o tem zdarzeniu inszą razą detalicznie panu zaznacze, jak kolejka do Sobieskiego dojdzie.

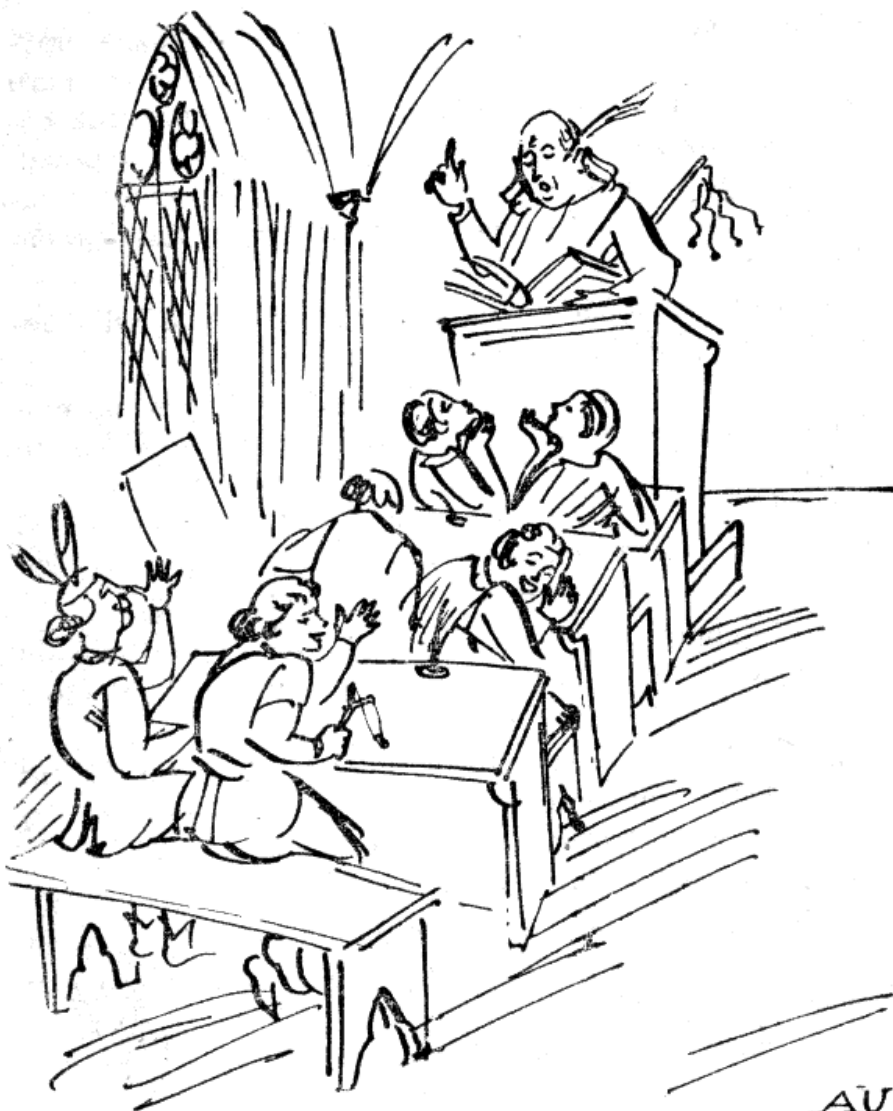
CAŁY WAWEL DZIECI

Rzecz wiadoma, że na króla kobiety lecą i każda jedna, żeby nie wiem jaką kalikaturą była, ma życzenie za królową się zostać i sąsiadkom pod oknami w koronie pochodzić, żeby się jem żółć ulewała.

Totyz nie dawali baby spokoju Władysławowi Jagielle - co zdążył chłopina owdowieć, już mu się druga na żonę pchała.

A że był facetem spokojnym i troszkie, między namy mówiąc, fajtłapą w domowem pożyciu, nie mógł się odbronić i cztery razy się żenił. Ale synów miał tylko z ostatnią małżonką. Starszy z nich, Władek po ojcu mu było - jak już wiemy, życie pod Warną przez makaroniarzy w młodem wieku postradał i w taki sposób dzieci po sobie nie zostawił. Za to młodszy, Kaziak, takie miał co pod tem względem garbate szczęście, że o mały figiel nie zbankretował.

Co rok, to prorok - cały Wawel dzieci. Latali po mieszkaniu jak szatany, darli się jak powietrze, szyby wybijali i temuż podobnie. Dochodziło do tego, że Kaziak nieraz rządzić nie mógł, bo mu berło szczeniaki tak schowali, że tydzień nie można było znaleźć. Zgodził jem król nauczyciela, niejakiego Długosza, któren lał ich dysczypliną ile wlało, ale że był w starszem wieku, zawsze mu najechali na krużganek i z procy pestkami od wiśni do niego strzelali.



Martwił się król niemożebnie, bo oprócz harmidru w domu ekspens miał poważny. Jak jednemu kupił łyżwy, to drugi zaraz o hulajnogie się upominał, a koklusz się nie kończył i doktorzy z domu nie wychodzili.

Totyż co który podrósł, zaraz go król gdzieś upychał. Najstarszego Czechom na króla odstąpił, paru w duchownem seminarium umieścił, a kilka sztuk córek za mąż za różnych zagranicznych hrabiów powydawał i tak mu się jeszcze trzech największych cwaniaków zostało i te kolejno za królów u nasz potem byli: Janek, Oleś i Zygmont.

Nawet nie można powiedzieć, niegorsze to byli dzieciaki, jak podrośli.

Dzisiaj zajmiem się detalicznie Zygmontem, bo najlepiej i najdłużej w charakterze króla się w Polsce zatrudniał. Krzyżaków wykończył na perłowo ze szlaczkiem, tak że sam najważniejszy z nich przed halą targową, czyli tak zwaną Sukiennicą w Krakowie musiał ukłęknać przed królem i o litość prosić.

A Zygmont na krzeselku sobie usiadł, krzyżackie chorągiew z czarnem niemieckiem orłem wziął w rękę i mówi:

„No już, klękaj, taka twoja w te i nazad, bo jak cię tem sztandarem na dębowym kiju zaprawię, to cię przez lejek do trumny trzeba będzie wlewać.”

Krzyżak się spietrał, trzęsie się ze strachu, ale mówi:

„Nie mogię, proszę króla, bo w blaszanem wojennem garniturze się znajduje i jak ukłękne, przepadłem - więcej się nie podniesie.”

Faktycznie, miał na sobie staroświeckie wojskowe ubranie z żelaznej blachy, na śruby i muterki zamiast guzików zapinane, ładne parę pudów wagi i rzeczywiście, poniekąd ukłęknać w takiej cholerze było przyciężko.

Ale Zygmont zły był na niego jak wielkie nieszczęście, bo z tego Krzyżaka kawał drania było, i zaznacza:

„Nic mnie to nie obchodzi, klękaj i składaj przysięgę, a nie będziesz się mógł podnieść, to cię na taczkach po włoszczyźnie z tego placu za Floriańskie Brame się wywiezie.”

Jak było, czy się podniósł o własnej sile, czyli go też król faktycznie na taczki kazał załadować, historia detalicznie nam o tem nie wspomina. Fakt faktem, że musiał łachudra ukłęknać. Jeden malarz, niejaki Matejko, którego był przy tem, całą tę niemożebną drakie na olejnym widoczku odmalował. Lanszaft ten do dziś dnia wisi na pierwszym piętrze w tej samej targowej hali i za głupie dziesięć złotych każdy jeden może go obejrzyć.

Jest tam odrobiona w naturalnych kolorach także samo żona Zygmonta, niejaka Bona, ale o niej zaznaczę panu szanownemu parę słów drugą razą.

Tymi słowy zakończył pan Teoś Piecyk pierwszy wykład o panowaniu Zygmunta I, zwanego Starym.

LENIWE PIEROGI KRÓLOWEJ BONY

W dzisiejszym wykładzie miał pan, panie Teosiu, opowiedzieć o królowej Bonie - przypomniałem panu Piecykowi widząc, że długo jakoś nie zaczyna prelekcji.

Profesor Piecyk spojrział na mnie ironicznie i rzekł:

- O czym miałem mówić, sam dobrze wiem, tylko nieprzyjemnie jest mnie o tem wspominać, z powodu że zgorszenia boje się skuteczniać.

Ta owa Bona, czyli kuchta do dzieci, troszkie na siłę się za naszego Zygmonta wydała. Z miasta Rzemu do Krakowa przyjechała, żeby królewskie dzieci palre franse po włosku uczyć i kuchnią się zająć, a temczasem

takie oko do króla zaiwiała, taki makaron z szynką na drugie śniadanie mu podstawiła, że dał się chłop na wędki wziąć i zakochał na amen. Dzieciaki brudne, zasmarkane, obszarpane po podwórku cały dzień latali, a Bona król sobie przygruchał i co noc wodę do kuchni pić chodził, gdzie ta owa Bona łóżko polowe na noc sobie rozstawiała.

Raz ich królowa nakryła i Bona na zbity łeb! Wtenczas stragan z włoszczyzną na placu przed Mariackim kościołem jej założył, gdzie do ładnej forsy na kalafiorach, pietruszce i szpinaku doszła.

A jak tylko pierwsza żona oczy zamkła, jeszcze dobrze żaloba nie wyszła, król na zapowiedzie z nią dał. Stragan wydzierzawili jakiejś babie, a ona się legalną królową została.



Rodzina, ma się rozumieć, krzyk podniosła, że włoski garkotłuk, koszyczkowem karmiony, nie ma prawa do rodziny wejść, ale było za późno.

Dopiero po weselu sporutował Zygmunt, jakie to cholere zaślubił. Ze strażakiem, co na ósme i dwunaste z Mariackiego kościoła hejnał zaiwiał, sercowej znajomości nie chciała skończyć i krugom wieprzowe kotleta mu na wieże posyłała. Wróżki i Cyganki po staremu do niej przychodzili i co się dało z rzeczy wynieść, wynosili. Także samo na rajce do magła latać nie przestała.

A już najgorsze, że salonowego alibi nie mogła się nauczyć i stale i wciąż z pyskiem do króla wyskakiwała i dobrego słowa nigdy od niej nie usłyszał. Tylko furt: stary i stary. „Stary, daj mnie forsy na kapelusz!” „Stary, nie chrap!” Stary to, stary tamto...

Tak się roznieśli to po całej Polsce, że nikt inaczej o królu się nie wyrażał, tylko „Stary”. I tak się już zostało, że my, historyki, zmuszone jesteśmy także samo Zygmontem Starem go nazywać.

Ale na tem nie koniec, własne synowe arszenikiem na szczury otruła, bo się jej nie spodobało, że syn się z szemraną wdówką, przystojniaczką, niejaką Radziwiłówną z domu, ożenił. Wdówka była oblatana i nie dała sobie pani starszej zanadto podgrymaszać. Jak już nie mogła z Boną wytrzymać, obcinała ją w te słowa:

„A przymknij się, mamusia, na pięć minut, bo tu nie magiel ani brama, tylko stołowy pokój.”

Niby takiego tromfa jej zasuwała na te konto, że służba domowa lubi sobie w tych dwóch miejscach gadki założyć.

Rzecz naturalna, że Bone cholera na to brała, kupiła za złotówki trucizny i w leniwych pierogach synowej podała. Wszyscy się od razu zmiarkowali, co i jak się stało i jak się kapusie z urzędu śledczego zaczęli koło Bony kręcić, w nocy okradła Wawel do suchej nitki i nazad do Rzemu za lewem paszportem najechała.

Próbował nasz rząd później te forse, rzeczy i pościel odebrać, do sądu podał Mussoliniego. Ale adwokaci tak całe sprawę zaszczekali, że Mussolini wyparł się w żywy kamień i kamfora.

- Panie Teosiu - przerwałem wykładowcy - pańscy słuchacze zarzucają panu, że zbyt jednostronnie oświetla pan nasze dzieje, że mówi pan tylko o królach. Czy nie zechciałby pan, omawiając „złoty wiek zygmontowski”, zobrazować pokrótce wspaniały rozwój naszej ówczesnej kultury i nauki?

- Można - odrzekł pan Piecyk z powagą. - W tem czasie derektorem Pimu, czyli ministerstwa od przepowiadnia wiatru, deszczu i inszego gradobicia był niejaki Kopernik, któren do dziś dnia w charakterze figury z koszykiem w ręce na słupie naprzeciwko Świętego Krzyża siedzi.

Otóż, uważasz pan, ten Kopernik, ponieważ że wszyscy byli na niego cięte, bo się przepowiednia nigdy nie zgadzała, miał cykorię, że posadę straci.

Jak on kazał brać parasol i kalosze, słońce takie uderzało, że pot ludziom oczy zalewał, a jak znowuż przepowiadał pogodę słoneczne, oberwanie chmury następowało i ludzie zmoczone do suchej nitki do domu wracali.

Ze zmartwienia, że go zredukują, wynalazek Kopernik zrobił.

„Ziemia się kręci” powiedział jednego razu. „A sprawdzić możecie to łatwo, ale tylko pod ankohelem się znajdując. Człowiek trzeźwy tego nie zauważy bo przyzwyczajony jest tak nogamy przebierać, żeby mu ziemia nie uciekła. Ale mało wiele przebywając na gaziku, od razu widziem, że wszystko się kręci, domy nie domy, latarnie nie latarnie, a jak się zatrzymamy, ziemia na nasz nie czeka, gania dalej, a my się przewracamy na morde”.

Tak powiedział Kopernik.

KRÓL W KOLCZYKACH?

Patrz pan na tego frajera za szpicbródką, w damskim kapeluszu z rajterami oraz w marszczonym muślinowym kołnierzu z broszką i kolczykami w uszach. Chociaż tu na fotografii tego nie widać, ale skarż mnie Bóg, nylony musiał mieć na nogach i pantofelki na francuskim obcasie. To jest, uważasz pan, niejaki król Hendryk Walery!

Tu pan Piecyk niechętnym ruchem rzucił na stół matejkowską podobiznę Henryka Walezjusza, pierwszego z naszych obieralnych królów, w pięknym ówczesnym stroju francuskim.

- Ten Walery, uważasz pan, nastał u nasz za króla dlatego, że Zygmunt August jako bezdzietny wdowiec życie zakończył i na niem Jagiellońszczaki, mądre i równe faceci, się w Polsce w charakterze królów skończyli.

Zygmunt August, jak mu cholera mamusia, czyli Bona, żonę leniwemy pierogamy struła, stale i wciąż o nieboszczce myślał i za pomocą niejakiego Twardowskiego na kogucie duszę jej w ciemnym pokoju miał życzenie oglądać.

Twardoszczak to był cwaniak niemożebny i jako czarodziej fachowiec pierwszej klasy. Królika z kieszeni królowi wyciągnąć albo klatkę z kanarkiem zza kołnierza mu wyjąć, to była dla niego mucha.

W dzisiejszym czasie my, ludzie po szkołach kształcone, wiemy, że to jest tylko apteczne złudzenie ludzkiego oka i zanadto się w karafce nabijać nie dajemy. Ale staroświeckie nasze przodki myśleli, że Twardoszczak sitwe z diabłami trzyma i dlatego te różne sztuki odstawia. Także samo wierzyli, że on na naturalnem kogucie jeździ. A kogut był z dykty wyszykowany i w środku rower się znajdował. Twardowski pedały przyduszał i w ten deseń na tem kogucie zapychał.

Z tem wywoływaniem ducha Barbary Radziwiłówny, rzecz naturalna, także samo był szemrany kant, ale ponieważ że królowi to przyjemność robiło, nie możemy do Twardowskiego pretensji wnosić, chociaż kogut i duch byli lipne.



Ale, zresztą pies z niem tańczył, z tem kogutem, rozchodzi się o to, że Walery fatalnie się Polakom nie spodobał. Jak po wyborach przyjechał do nas z Paryża i wysiadł z wagonu pierwszej klasy na stacji w Krakowie, ludzie zobaczyli ten kapelusik ze strusiem piórem, te nylony, broszki i kolczyki. W pierwszej chwili myśleli, że wariat, cafli się w tył i chcieli ze stacji najeżdzać.

Ale koniec końców mówią sobie, trudno, wariat nie wariat, forse na wybory się wydało, także samo przyjęcie koronacyjne gotowe, niech będzie na razie za króla, potem się zobaczy, może mu przejdzie. Tylko waronek mu postawili - albo kolczyki, broszki i pończochy z czarnem szwem zdejmie, jak się należy ubierze i za króla Walerego będzie, albo też szpicbródki i wąsy zgoli, pluszowe suknie z trenem założy i królowe Walercie będzie odstawiał.

Ale on nie chciał się zgodzić i dalej chodził ni pies, ni wydra. Na dobytek konsumpcji jak się należy nie uznawał, tylko francuskim sposobem się odżywiał. Wyszedł do ogródka, urwał główkę sałaty i bez soli wtroił, żabie nóżki w oliwie na obiad sobie stalował albo też ślimaki w potrawce.

Żadne przyjęcia nie mogli się w pałacu odbywać, bo goście obrzydliwości dostawali i nawiewali od stołu.

Totyz na siłę prawie zaczęli nasi ministrowie króla do bigosu myśliwskiego oraz zrazów po polsku zaprawiać. Chciał się nawet podobnie przyzwyczaić, ale nie mógł. Jak jednego razu porcje flaków z pulpetamy wsunął, o mało w nocy nie zakitował. Zapakował rano w walizkę dwanaście par kajzerów z pospuszczanym oczkami, biusthalter i zapasowe desusy i bez pożegnania wyjechał.

JAGIELLONKA TRZEPIE ARRASY

Jak ten, uważasz mnie pan, Hendryk Walery do Francji najechał, Polska nie wiedziała faktycznie, co dalej robić; niby król jest, na forsie i markach pocztowych figuruje, a rzeczywistość jest nieobecny.

Nieprzyjemna sytuacja, jak pragnę zdrowia, się wytworzyła. Różne zagraniczne ambasadorowie przyjeżdżają na Wawel troszkie o polityce porozmawiać i kielicha sobie przy tej okazji trzasnąć, a także samo przyzwyczajenie zakąsić, a tu król się nie pokazuje. Minister zagraniczny tylko do nich wychodzi i ni to, ni owo jem od rzeczy opowiada. A to król nieczasowy, a to głowa go boli, wziął kogutka i położył się przekimając i temuż podobnie.

Ale można było tych cudzoziemskich cwaniaków trajlować tak tydzień, dwa, dłużej się nie dało.

A Walery temczasem w Paryżu siedział i w Krakowie się nie pokazywał. Totyz nasze przodki wyszli koniec końców z nerw i rejentalne wezwanie mu posłali.

„Albo wracasz król do roboty, albo wont z posady bez trzymiesięcznego wymówienia. Innego się zgodzi. Nie brak bezrobotnych królów na świecie.” - Ale Walery tak się temy flakami z pulpetamy wystraszył, że za żadną cholere nie chciał się wrócić.

Wtenczas zebrali się ministrowie i mówią:

„Pies z niem tańczył, nie, to nie, nasza Andzia będzie u nas za królowę!”

Ta Andzia to była, uważasz pan, Jagiellońszczanka z domu, siostra Zygmonta Augusta, panienska, jak to mówią, w starszym wieku, ale jeszcze na chodzie. Została się za królowe i musiem przyznać, że rządziła pierwsza klasa z przybudówką.

No, bo jeżeli weźmiem to życiowo, ktoże mógł się jej sprzeciwić. Jeżeli o wiele kaźden z nas, jak ma się z żoną przekomarzać, woli uszy po sobie położyć i powiedzieć:

„Tak, tak, masz rację, tylko stul mordę, najdroższa, bo głowa mnie od tego pęka.” To masz pan pojęcie, co się musiało dziać, jak taka starsza kobieta w koronie na głowie przyszła na radę ministrów i zaczęła ich pod krytykę brać, że źle rządzą. Z góry na wszystko się zgadzali, tylko kaźden uważał, żeby czasem berłem w ciemie go nie zaprawiała.

Ale zdziwiło się jej, ma się rozumieć, za samotne królowe być, bo mówi:

„Za dużo mam roboty. Nie wiem, za co się wpierw łapać, czy do sejmu lecieć, czy na jesienne maniebrzy wojskowe jechać, czy prania dopilnować, a do kuchni także samo trzeba zajrzeć, bo masła za dużo wychodzi. Arrasy, czyli perskie dywany, obowiązkowo muszę samodzielnie ze ścian pozdejmać i wytrześć jak się należy, bo mól się wdadzą i za sto lat potomki mnie obszczekają, że Anna Jagiellonka była flądra.”

Ale, tak między nami mówiąc, przypuszczam, że rozchodziło się jej także samo troszkie o tak zwane szczęście małżeńskie, czyli że miała życzenie własnego męża posiadać, któremu można by było łeb suszyć skolko ugodno, a on by nie mógł się podać do dymisji, jak ministrzy. Skopiowała, ma się rozumieć, do gazet zagranicznych ogłoszenie matrymonialne w te słowa:

„Panna od lat 40, niedzisiejszych poglądów, w braku znajomości poszukuje pana w średnim wieku, może być i młodszy, do dobrze prosperującego królewskiego interesu w kraju rolniczem. Małżeństwo niewykluczone. Oferty tylko poważne z fotografią. Kraków, «Czytelnik», Wielopole 1”... i temuż podobnież.

Ma się rozumieć fotografie zaczęli nadchodzić tysiącami. Rzucili się do Krakowa na wyścigi różne zagraniczne hrabiowie i książęta: austrijackie, rosyjskie, niemieckie. Ale najprędzej przyjechał z Budapesztu Węgier, niejaki Stefan Batory, wszystkich odstawił i żywo, nawet bez zapowiedzi, wziął z Ańdżią ślub i tem inszem frajerom nawet kosztów podróży nie miał kto zwrócić, bo „Czytelnik” także samo nie chciał o niczem słyszeć.

ZYGMONT Z W-Z

Dzisiaj, panie szanowny, trzeba coś niecoś pobarłozyc na konto króla Zygmonta, tego co do powstania na Nowem Zjeździe stał, a dzisiaj w Narodowym Muzeum czeka, aż mu kamieniarze nowy słup wyszukają, na ulicy W-Z ustawią i tramwaje pod niem przepuszczą.

Często chodzę na Krakowskie kamień na ten słup oglądać i patrzeć, jak ta robota leci. Coś się tam koło tego kamienia niby zaczyna dłubać, ale po mojemu troszkie za wolno i zdaje mnie się, że będzie on ciut, ciut na ten słup za krótki.

Magistrat mówi, że kropka w kropkę taki sam, jak był, nie będę się sprzeczał, niech będzie, że nie mam racji. Zobaczysz się, jak króla ustawią. Na razie tylko tyle zaznaczę, że po Batorem, któren był kawał kozaka i grzał się z kim popadło, nastał ten właśnie Zygmunt z Nowego Zjazdu, a obecnie z Wuzetu. Marnego słowa o niem nie powiem, chociażby dlatego, że inwalida z powstania - prawe ręce prawie do łokcia stracił i pałasz jest stratny, który mu gdzieś zginął. Ale, tak między nami mówiąc, można by mu letko przygadać, że za bardzo się przejmował tem, czy ewangeliki wtrajają mięso w piątek, czy też marnowanego śledzia.

Rybną centralę założył, trzysta potraw z dorsza obmyślił, faszerowanego szczupaka po żydowsku wynalazł, tylko dlatego, żeby ich do prostu namówić, a oni nie i nie. I nie o to mu się rozchodziło, żeby rąbki w Polsce nie zabrakło, tylko żeby się ewangeliki po piekle nie poniewierali.

Bywszy na jego miejscu powiedziałbym sobie, niech rąbią wieprzowinę, cholera mnie do tego, mnie diabli nie będą ogonami po mordzie leli, tylko ich. Ale król nie chciał się zgodzić, taki uparty charakter człowieka.

W ogólności umiał się ludziom narazić. Zwłaszcza krakowiaki mocno go nie lubią do dziś dnia. Rozchodzi się jem o to, że stolice z Krakowa do Warszawy przeprowadził.

Jednego razu kazał załadować na platformę tron i trochę rzeczy, korone w walizkie, berło pod pachę i wio, do Warszawy. Dziwić się znowuż zanadto chłopu nie można, bo Kraków owszem, niczego sobie miasteczko, nie można powiedzieć, ale za bardzo wzruszające. W Warszawie ruch, krzyk, rozgardiasz, latasz pan jak kot z pęcherzem. A przeprowadzi się pan do Krakowa, z miejsca jest inaczej. Pierwszego dnia wylatasz pan na ulicę warszawskiem krokiem i z miejsca się pan obcinasz, zwalniasz pan. Zaczynasz pan sobie mimowolnie jak wszyscy langsam-pomalutku spacerować. Przestaje się panu śpieszyć.



Oglądasz pan narodowe pamiątki, kościoły i temuż podobnie. Tu pan wpadniesz na nieszpory, tu znowu odwiedzisz nieboszczyków, polskich króli. Chodzisz pan, chodzisz, zwiedzasz pan te wszystkie grobowce, tak się panu powolutku przyjemnie na duszy robi, płakać się chce, wsiadasz pan w mały „dziecinny” tramwaj i na smentarz pan zapychasz plac dla siebie i dla całej rodziny obejrzyć. Takie wzruszające miasto.

Za króla Zygmonta tak samo było. Zabawić się nie było gdzie. Same kościoły. Król był facetem nabożnym, ale ktoże wytrzyma krugom na nieszporych siedzieć.

A w Warszawie rzecz druga - Fukier przyzwoite knajpe na Starówce prowadził, a także samo na Saskiej Kępie „Pod Dębem” i na Bielanych u Bochenka w gaz można było uderzyć, ma się rozumieć bez nadużycia, po królewsku.

Totyż nic dziwnego, że król te przeprowadzkie uskutecznił, ale krakowiaki stale i wciąż na niego pyskują.

TO NIE CHICHI!

Pan Piecyk przynajmniej raz na miesiąc przeprowadza kontrolę robót na trasie W-Z. Zabiera mnie czasem z sobą. Ostatnim razem przyszedł po mnie jakoś podniecony i już od progu zawołał:

- Żywo, żywo, ochajtnij się pan troszkie i posuwamy na Krakowskie, króla Zygmonta podobnie lada dzień mają ustawiać, słup już gotów, trzeba go obejrzyć, czy formalny i w ogólności pogonić robotę, bo się boje, że

nie zdają i kompromitacja dla miasta Warszawy wyniknąć z tego może. O wiele dotychczas nie przejmowałem się tem bardzo, a teraz, uważasz pan, już czas się pośpieszyć, za cztery tygodnie z hakiem otwarcie kołowego ruchu. Tu już się chichi skończyli, o warszawski honor się rozchodzi. Nie może się z nasz taki Kraków nabijać, nie może nam taki Poznań podgrymaszać, że Warszawa dużo pyskowała i nawaliła. Tego, panie szanowny, bym nie przeżył i dlatego musiem sprawdzić, jak to idzie.

Zaczęliśmy od pomnika Zygmunta III. Pan Teoś ze zmarszczoną brwią, w skupieniu obejrzał leżącą jeszcze na ziemi kolumnę. Obstukał ją ze znanstwem bambusem, sprawdził gładkość polerunku i rzekł z ukrywanym pod maską obojętności zadowoleniem:

- No, obleci.



Potem udaliśmy się na miejsce budowy nowego cokołu. Tu znowu pan Teoś bardzo szczegółowo badał jakość użytego materiału. W pewnym momencie nawet oddał mi bambus do potrzymania, a sam wydobyl calówkę i starannie wymierzał poszczególne części podmurówki. Następnie metr po metrze skontrolował odległość cokołu od kamienicy Johna i zdenerwował się.

- Co jest? Nawalanka! Nie w tym miejscu stoi co dawniej. Tak być nie może, na fuchę puszczone cała robota.

Ponieważ żywo gestykulował i głośno wykrzykiwał niepochlebne uwagi pod adresem ludzi, którzy wybrali nowe miejsce pod pomnik, utworzyło się zbiegowisko. Toteż ująłem pana Teosia pod rękę i zacząłem mu pośpiesznie klarować, że miejsce jest wybrane przez urbanistów, że na pewno jest lepsze niż dawniej, że pomnik będzie bardziej widoczny z Krakowskiego itp. itp. Ale pan Piecyk długo nie chciał się uspokoić.

- Plac Zamkowy nie Bielany, a pomnik nie karuzela, żeby go z miejsca na miejsce przestawiać. Jak go Władek tatusiowi postawił, tak jego prawo stoic i szkoda gaduchny.

Pan Teoś, wybitny znawca dziejów ojczystych, miał na myśli oczywiście króla Władysława IV, który ku czci ojca swego wznosił tę kolumnę.

- Należy się tradycje szanować, zwłaszcza poniekąd jeżeli się rozchodzi o Zygmonta, którego stolice z Warszawy zrobił.

Na prowincji się kiedyś znajdowała, za Grójec czy inny Parzenczew przedtem uchodziła, zaczem Zygmont się nami zajął i na ludzi nasz wyprowadził. Za złobów byśmy do tych pór byli, a tak stołecznych obywateli zagrywamy, taka nasza w te i nazad, i odwdzięczyć się za to nawet nie potrafiem.

Już od początku miał król z warszawiakami ciężkie życie. Chłopina na kantach się nie znał, w Krakowie spokojnie sobie żył i nie wiedział, jakie to ancymonki w Warszawie zamieszkują.

I od razu w parę dni, jak tylko z tronem i rzeczami się do nasz sprowadził, od razu go farmazoni na szaro zrobili. Przyszli do Zamku i w bajer go biorą warszawskim sposobem, że z miedzi złoto potrafią robić. Król forsy potrzebował, a domiary nie byli jeszcze wynalezione, dał się wykołować, klamki w całym zamku kazał pozdejmować, moździerz z tłuczkiem z kuchni przytargał i oddał tem łachudrom.

A farmazoni ogień pod kociołkiem na podwórku rozpalili, włożyli tam klamki i moździerz i mówią, że trzeba troszkie prawdziwego złota do tego wrzucić, wlać czarodziejski olejek, dobrze to wszystko razem zagotować i jak wystygnie, cały kocioł dentystycznej trójki w najlepszym dukatowym gatunku się otrzyma.

Król był z Krakowa, uwierzył. Pierścionki z palców pozdejmował, kolczyki i broszki żonie odebrał i oddał farmazonom. Oni, ma się rozumieć, naleli do kociołka walerianowych kropli niby też w charakterze czarodziejskich olejków. Zamiast królewskiej biżuterii wrzucili do miedzi parę tombakowych obrączek, a prawdziwe klejnoty, znaczy się, przykaraulili i chodu.

Na dobitek królowi wazową łyżką kazali do rana w kociołku mieszać, żeby się złoto nie przypaliło. Jeszcze na dobitek przez samopoczucie wolnego żartu i towarzyskiej draki Zygmont Waza go potem nazwali.

Król, ma się rozumieć, jak sporutował, co się święci, był na nich niemożebnie cięty i nazad do Krakowa chciał się przeprowadzić. Ale koniec końców się został, przebaczył warszawiakom i sztama była po wieczne czasy. Musiał Warszawie frajerskie zapłacić.

- No, widzi pan, skoro król darował Warszawie tak brzydki postępek, na pewno nie będzie miał pretensji o to przesunięcie pomnika o parę metrów - wtrąciłem pojednawczo.

- Możliwe, żeby tylko na czas remont figury był gotów, bo inaczej Kraków znowuż się będzie z króla nabijał.

- Mowy nie ma!

KRÓL Z HANDLOWĄ SMYKAŁKĄ

Patrz pan, jak nam się składa. - Jak raz na Krakowskim króla Zygmonta szykuję, i właśnie Władysława Czwartego, którego ten pomnik paraset lat temu nazad swojemu tatusiowi postawił, zmuszone jesteśmy dzisiaj poruszyć.

W ogólności, nie można powiedzieć, chłopak był nienajgorszy, a przede wszystkim miał dużą smykałkę handlową. Bo weź pan na przykład pod uwagę taką rzecz. Szkopy w tamtem czasie każdemu nowemu naszemu królowi zmuszone byli tak zwany „hołd pruski” skutecznie. Robiło się to w ten deseń, że król siadał w stołowym pokoju na krzeselku, dywanik sprzed łóżka przed niem rozkładali, ministrzy obtaczali go naobkoło. Zza portier wychodził niemiecki książę, klękał na dywaniku i do pucu przysięgi wierności na wieczne czasy mu składał.

Otóż więc, jak Właduchna za króla nastał, szkopiak nie miał życzenia przed nim klękać i chciał się z tego wykupić. Pokątnie przez znajomych zaznaczał, że dużą forszę by dał, żeby ten hołd mógł się odbyć w cztery oczy, w bocznym pokoju na stojąco.

Król pomyślał chwilkie i mówi:

„Dobra, pies z niem tańcował i z jego hołdem, niech będzie na stojąco nawet w łazience, ale to musi kosztować sto patyków.”

Nawet niedużo powiedział, chociaż to byli przedwojenne tysiące, kiedy to literek czystej wyborowej, zdaje się, cztery złote i pięćdziesiąt groszy kosztował. Szkop się zaczął targować, płakać. Opuścił mu Władek dychę i za dziewięćdziesiątka przeszedł ten hołd w kuchni czy przedpokoju. Sam król nawet nie był obecny, tylko jakiegoś koleżki swojego posłał.

Inszą razą za dwieście tysięcy rubli odstępnego zrzekł się prawa do carskiej korony.

A to znowuż, uważasz pan, było tak. W swoim czasie Ruscy obrali go za cara, ale tatuś nie pozwolił mu do Moskwy jechać i tak się zostało.

„Nie, to nie” - myślą sobie Ruscy i wybrali innego, ale Władek miał carskie ledykimacje - czarne na białem, że jest carem. Trzeba było to od niego wydostać. Zażądał dwieście kawałków. Dali mu. Naliczyli forszę i proszą o zwrot ledykimacji. Władek szuka po kieszeniach, przewraca szuflady, nie ma, kamień woda. Ledykimacja zginęła.



Jak tak, to Ruscy chowają forszę nazad. Widzi Władek, że krewa, harmonię pieniędzy mu sprzed nosa sprzątają, zły się zrobił jak cholera, ministrów sztorcuje na czym świat stoi. Ale Ruskie do pucu tak te forsy chowali, wypłacili mu dwieście tysięcy rubli samemu „świnkamy”, tylko przy świadkach musiał się przysiąc, że ledykimacja faktycznie zginęła i kwit załączyć z redakcji, że trzy ogłoszenia w dziale zagubionych dokumentów opłacił. A dlatego taki był pies na pieniądze, że fatalne długi posiadał. Szczery był chłopak, fondował na prawo i lewo, komu się dało. Totyż Potocczaki i Radziwiłłoszczaki, co się koło niego kręcili, za cholere nie chcieli się zgodzić, żeby się ożenił. No, bo faktycznie, z kawalera kaźden nażyje, forsy pożyczycy i temuż podobnie. I ochlaję kawalerskie u Fukiera też mieli swoje znaczenie.

A z drugiej znowuż strony Władzio widzi, że niedobrze, pensja za rok naprzód wybrana, „hołd” dawno wypotrzebowany, „świnka” została mu się jedna i tylko dlatego, że była pęknięta i brzęku nie miała. Totyż na siłę chciał się żenić i przygruchał sobie jedne hrabinie, ale mu się nie dali z nią ochajtnąć, że była niemieckiej religii, druga znowuż, mówią, że za ruda, trzecia ma krótszą nogie, i tak go kołowali ładne pare lat.

Aż się koniec końców zgniwał, pojechał do Wiednia i z cesarzową dał na zapowiedzie. Magistracki ślub wzięli w Wiedniu, ale kościelny u nasz, u Fary. I znowuż miał z tego nieprzyjemności. Miasto Kraków z pyskiem na niego wyskoczyło, że wszelkie uroczystości królewskie, jak koronacje, śluby i pogrzeby najładniej w Krakowie wychodzą.

A najwięcej się mądrzył niejaki „á la Hawelka”, któren na Rynku knajpę prowadził i zawsze podczas takiego zjazdu pekiel pieniędzy zarabiał. W ogóle ciężkie miał życie Władek Czwórka - Szwedzi co i raz grandy różne mu skuteczniiali i musiał się z niemy naparzać.

A już co Turki, to niemożebnie się prowadzili, stale i wciąż przez granice się do nasz wtranżalali i nie mógł sobie król inaczej z niemy poradzić, aż zmuszony był Kozaków na nich napuszczać. Kozaki, to jak sama nazwa nasz poucza, byli faceci otczajne, czyli że niemożebne chojraki. Sempatyczne nawet, lecz nerwowe. Ale za to manto komuś spuścić, wycisk dać, to już fachowcy pierwszej klasy.

Spomknął się z niemy Właduchna, wypił, zakąsił i dawaj ich na Turków bontować.

„Coże oni, chałwą karmione, wam będą podgrymaszać, to wy takie kozaki jezdeście, żeby byle złamany Turek z wasz się nabijał. W kuchni ich i chodu do mnie!”

Co z tego wyszło, zaznacze panu szanownemu następną razą.

BIUROKRACJA SZURAŁA

Po mojemu, racje miał pan Borejsza, że na satyrycznym zjeździe napuszczał literatów na biurokracje! - tak nieoczekiwanie zaczął pan Teoś Piecyk swój wykład.

Z najwyższym zdumieniem tedy zapytałem:

- Ależ, panie Teosiu, cóż to ma z dziejami panowania Władysława IV i jego stosunkiem do Kozaków, o czym miał pan szerzej opowiedzieć w dzisiejszej prelekcji!

- Co ma wspólnego, zaraz się pan przekonasz. Władek z Kozakamy żył najlepiej. Turków za twarz z ich pomocą trzymał i wszystko byłoby dobrze, żeby cholery biurokraci nie szurali.

Król blat trzymał z Kozakamy, a różne wojewodzi, starości, derektory, referenci, skarbowe naczelnicy, chore kasjarze i temuż podobnie niemożebnie jem podgrymaszali. I jak koniec końców jeden starosta, niejaki Czaplński, przygruchał sobie żonę samego najważniejszego Kozaka Chmielnickiego, zaczęło się nieszczęście.

Chmielnicka, jak to kobieta, poleciała na tego starościaka, bo co władza, to władza. Szewroletek jeszcze wtenczas co prawda nie było, ale starosta miał kibitkę w dwa konie i mógł z fasonem „sekretarkie” na spacer przewieźć. A Kozak najwyżej z tyłu za sobą mógł ją na koniu taskać.

Czyli że w podobieństwie miała do wyboru albo lemuzynę, albo tylnie siodełko przy motocyklu, czyli trząchanie łbem po kamieniach. Rzecz jasna, że wybrała szewrlęte.

Fatalna wojna z tego wyszła, czem się Władek tak struł, że w krótkich abcugach oczy zamknął. A kto winien - biurokracja, czy nie?

Przyświadczyłem.

- Trzeba było wtenczas wybrać nowego króla, ponieważ że Władek był facetem bezdzietnym. Na braciszka jego, Jana Kaźmierza, królewska posada przeszła.

Ten ów Jan Kaźmierz faktycznie księdzem wtenczas był, ale jak się o tem dowiedział, od razu sutanne w naftaline, szpicbródki i angielskie wąsy sobie zapuścił i z parafii na plac Zamkowy się przeprowadził.

Ponieważ Ze jako osoba duchowna znajomości wśród tak zwanej płci pięknej nie posiadał i nie chciało mu się za długo w konkury uderzać, gotowe żone po nieboszczyku sobie wziął, czyli że z bratową się ożenił. Raz, że w królewskim fachu była oblatana, po francusku władała, tak jak po polsku i mogła męża nieraz w interesie zastąpić.



Tylko niedobrze się stało, że się Jan Kaźmierz przy drugiej posadzie upierał, mianowicie, koniecznie chciał także samo i za szwedzkiego króla się zatrudniać, ponieważ że po jakimś dziadku mu się to należało.

Dziwić się mu zanadto, faktycznie, nie mogę, bo królewska dodatkowa pensja była niewąska, a także samo deputat w szwedzkich zapalkach nielichy. Jakiś tam jego pociotek, któren na tron szwedzki w tem czasie bezprawnie na siłę się wtranzolił, po dobroci nie chciał z tej posady ustąpić i na dobitek jeszcze mu w listach pisał: „Proszę księdza proboszcza”. - W ten deseń do wojny ze Szwecją doszliśmy.

Niezależnie różne drobniejsze sąsiedzi tyż zaczęli się do nasz przyczepiać i Polska zmuszona była się bronić na wszystkie strony, i nastąpił tak zwany „Potop”.

W tych waronkach, nic dziwnego, że w krótkim czasie Warszawę Szwedzi zajęli, król zmuszonym był na Ziemię Odzyskane wyjechać, a Szwedzi niemożebnie w całym kraju rozrabiali. Wtenczas to pierwsze foksdojcze się u nasz pojawili i blat ze Szwedami trzymali.

Jednem słowem, rozpacz i ciemna mogiła!

Tak było aż do czasu, kiedy Szwedziaki pod Częstochowe przyszli. Tam niemożebne knoty od księdza Kordeckiego otrzymali w same Boże Narodzenie i do zakopanego na kuracje zmuszone byli się udać.

Górale wzięli ich w swoje obroty. Za mały kurs po Krupówkach po czterysta złotych od nich brali, a do knajpy w dolinie Kościeliskiej tysiąc dwieście do tysiąca pięciuset. Reszta forsy u „Jędrusia” zostawili i bose i nagie piechotą do Warszawy musieli zasuwać. Koło Poronina górale się na nich za węglem naszykowali i takie manto jem spuścili, że żywa dusza nie wyszła.

Ksiądz Kordecki zrobił początek i od tej pory, kto co miał pod ręką, grzał Szwedów, czem popadło. Taki jem Polska zrobiła „Potop”, że rzadko który wypłynął. Od tej pory minęło ładne pare lat. Za koleżków ze Szwedami jesteśmy, na kaszel lekarstwa nam przywożą, węgiel od nas kupują, w goście do siebie jeżdżiem, ale na żadnych wspólnych wieczorach ani o księdzu Kordeckim, ani o Częstochowie się nie wspomina. Nieprzyjemnie.

JAK SOBIESKI “PRZEROBIL” CESARZA

Byłem, panie szanowny, wczoraj cały dzień w Wilanowie - zaczął pan Piecyk.

- W celu?

- W celu, żeby sobie, jak się należy, króla Sobieskiego przypomnieć, o którym będę miał zaszczyt dzisiaj parę słów zaznaczyć.

- Jak to o Sobieskim? - przerwałem zaniepokojony - przecież, o ile pamiętam, dziś kolej na króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego.

- Wiśniowiecczak, faktycznie, był pare lat za króla, nawet, nie można powiedzieć, chłopak porządny i z dobrej rodziny, ale ciepła klucha, czyli lelum polelum i w tem ciężkiem czasie nie nadawał się dla nasz, dlatego tyż nie zamiaruje się nad niem rozczulać.

Kawał Polski Turkom oddał, czem niemożebnie mnie zgniewał i dlategożem go wykreślił z historii. Dla mnie go nie było.

O, Sobieski, to jest król, jak się należy, kawał chłopca, Turkom knoty zasuwał raz koło razu, niemożebnie austriackiego cesarza Leopolda obciął, Wilanów, jak się należy, wyszykował, o niem mogę sobie porozmawiać.

- Ale słyszałem, że za bardzo był uległy wobec swej małżonki Marii Kazimiery.

Pan Piecyk spojrział na mnie przeciągle:

- Czego, uległy? A każdy z nas nie posiada swej Marysienki? Każdy z nas za takiego znowuż mocnego kozaka jest w domu?

Szybko zmieniłem temat, kierując rozmowę na wyprawę wiedeńską.

- Z tem Wiedniem, to, uważasz pan, było tak. Król Sobieski jak raz drogie pod Wilanowem drzewkami wysadzał, kiedy przyjechali austriackie szkopy i dawaj przed nim klękać i prosić, żeby jechał pod Wiedeń, bo Turki niemożliwy okład jem dają i w kocioł ich wzięli pod samą stolicą. Król drzewko odstawił pod ścianę, spojrzął się na szkopów jak na wariatów i zaznacza:

„A choleraże mnie do tego, że wasz leją, co ja z wami, na jeża strzyżone, dzieci chrzcilem czy jak, żeby dla waszych pięknych oczów rolniczą rozrywkę rzucać i tłuc się na drugi koniec świata? A jak Wiśniowieczakowi Kamieniec Turki odbierali, tośta mu pomogli? Poszliże wont, nie denerwujcie króla-rycerza! Dostyc mam już być za przedmurze chrześcijaństwa, na letniakach chcę trochę posiedzieć.”

Ale szkopy, szemrane cwaniaki, wstali z kolan, otrzepali portki z ziemi i nadmieniają:

„No, dobra, nie to nie, niech tam turecki sułtan w dalszym ciągu po haremie chodzi, 365 żon po łopatkach klepie i śmichy-chichy sobie uskutecznia, że takich Sobieskich »trzech na kilo u niego wchodzi«, że z przedmurzem lipa, jednym słowem, że król dlatego pod Wiedeń nie chce jechać, bo mojra odczuwa.”

Dał się naciąć Sobieski, obsztorcował sułtana, Austriaków, piekło w całym domu zrobił, że aż szyby dzwoniły, ale koniec końców wsiadł w kolejki i do Warszawy do Gienieralnego Sztabu pojechał. Kazał ogłosić mobilizację i jazda pod Wiedeń.

- Podobno Maria Kazimiera maczała w tym ręce - zauważyłem nieśmiało.

- A jeżeli o wiele nawet tak, to co? Jak żona łeb dzień i noc mężowi przez tydzień suszy, to można jej takiej drobnostki odmówić? Dużoś pan takich mężów widział?

Zamilkłem. A pan Piecyk mówił dalej:

- Zły jak wielkie nieszczęście przyjechał król pod ten Wiedeń. Wjechał z huzaramy na takie górki, konia nahajem i na dół. Sułtan jak raz w pałatce siedział, kawę po turecku popijał, a jedna żona przed nim tańczyła „polkie z węzem”.

A tu pałatka się przewraca i włata na koniu Sobieski. Jak zobaczył sułtana, przypomniało mu się, co Austriaki mówili i krzyczy:

„Achże ty, kawą z fusamy szprycowany, coś ty za głodne kawałki opowiadał?! Kogo u ciebie trzech na kilo wchodzi!?” - A potem do sułtanowej zaznacza: „Pokaż pani na chwilkę tego węża!”

Odebrał jej węża, za kuper go i lu niem sułtana w morde raz, drugi, trzeci, aż wąż zakitował, a sułtan spuchł równo na obydwie strony.

- No nie, to już pan chyba przesadza. Ani historia, ani legenda żadna o takim fakcie nie wspomina - zaoponowałem.

- Czy wspomina, czy nie wspomina, domyślić się mogę, że tak być musiało - rzekł ostro pan Piecyk i wykladał dalej:



- Jednym słowem, Turki w drebiezgi zostali rozbite, a Sobieski kazał zapakować sułtańskie pałatki, węża wypchać i odesłał do Wilanowa. Sam zajął najładniejsze mieszkanie w mieście i poszedł się przekimac.

Na drugi dzień defilada. Orkiestra podgrywa wiedeńskiego walczyka. Z jednej strony Sobieski zapycha na tureckim ogierze, a z drugiej strony cesarz Leopold w damskim kapeluszu z rajerami na dorożkarskim koniu, bo lepsze sztuki Turki mu zabrali. Podjeżdżają do siebie i żaden nie ma życzenia pierwszy się uklonąć. (Sobieski - faktycznie, jakim prawem? A cesarz, bo kawał drania).

Byliby już przejechali koło siebie jak dwa nieznajome osobnicy, ale Sobieski myśli sobie: „Czekaj, lebiego niewidymko, ja cie przerobie”. Podnosi rękę w górę, szkop myślał, że król się kłania, ściąga żywo kapelusz ze łba, aż pióro złamał. A Sobieski mówi:

„A kiszkie z grochem!” - i podkręca staropolskiego wąsa.

Publika w śmiech, cesarz niemożebnie obcięty, jednym słowem chasena z historycznym wydźwiękiem.

AUGUST MOCNY I PAROKONKA

Pan Piecyk przyszedł na wykład w fatalnym humorze, rzucił na stół wielki rulon, który przyniósł z sobą, i bębniąc palcami po stole, milczał ponuro.

Po dłuższej chwili przystąpił do rozwijania rulonu mówiąc jak gdyby do siebie:

- Mocny, mocny, szkopska jego mamusia była... Mocny August, bo u nasz sobie fest żołądek wyłożył. Żarł za czterech, to i siły nabrał.

- Na kogo pan się tak irytuje, panie Teosiu? - przerwałem wreszcie monolog panu Piecykowi, udając, że nie domyślałem się, iż w ten sposób właśnie zaczyna prelekcję o panowaniu w Polsce Augusta Drugiego Sasa, zwanego także Mocnym.

- Na kogo cholera mnie bierze? Na tego saksońskiego szkopa, którego nasze przodki za króla wybrali, żeby żadnemu z Sobieszczaków tej posady nie dać, chociaż po tatusiu się jem należała. Ale u nasz to tak zawsze, byle zagraniczna aflega nam jemponuje, a wyrób krajowy, czy to będzie król, czy sztuka materiału na jesionkie, szaconku nie budzi.

Spójrz się pan na tego mordziastego lebiegie z damską siwą ondulacją - tu pan Piecyk wskazał palcem na portret Sasa wśród Matejkowskiej galerii królów polskich. - Widzisz pan, jakiego Garkowienkie odstawia? Sam najsilniejszy siłacz w całej Polsce. Mistrz ciężkiej wagi! Faktycznie, wszystkie turnieje walki francuskiej w owym czasie wygrywał. Rozumiemy sami, że musiał wygrywać, bo każdego atleta się bojał, że jak go rozłoży na wszystkie cztery łopatki, do mamra się może dostać. Totyż każdego, kto z niem walczył, pierwszy się kładł na dywanie i krzyczał:



„O rany... proszę króla, jaki król mocny! Puść mnie, król, do wielkiej cholery, bo mnie, król, obojczyk złamiesz!”

Ma się rozumieć, to atleci balona z niego robili, żeby się cieszył, że taką krepę posiada. A on uwierzył i nie tylko na francuską walkie stałe i wciąż wszystkich wyzywał, ale i takie sztuki pokazywał, że parokonną dorożkę z tyłu za rysory łapał i na miejscu zatrzymywał.

Sałaciarze także samo do pucu dawali się zatrzymywać... Niby tyż to konie batami leli, a za lejce w tył ciągli i „prrr, pieska wasza niebieska” na nich wołali, żeby się królowi nie narażać, bo się bojeli, żeby jem prawa jazdy nie odebrał.

Ale ma się rozumieć król, któren w trzeźwym stanie derożki na Marszałkowskiej albo na Nowem Świecie za rysory z tyłu łapał, nie miał swojej powagi. A na dobytek draniem ostatecznym się okazał i z innemy naszemy sąsiadami kominował, jakby tu rozbiór Polski zrobić, meble z Warszawy powywozić i G.G. u nasz założyć.

W jednym się tylko przyczynił, że ogród w prencypalnym punkcie Warszawy zasiał i teraz nasz magistrat ma co zmniejszać co i raz i któredy nowe ulice przeprowadzić. Ale nazwał go „Saski”, tak samo jak i Saski Plac, tak samo jak i Saskie Kiepe.

Rozchodziło mu się o to, żeby się szkopy mogli później o te rzeczy upominać, jak o swoją własność. Ale to jeszcze nie wszystko. Młodych Sobieszczaków na roboty do Niemiec wysłał i w ogólności niemożebnie u nas rozrabiał.

Aż koniec końców zgniewało to szwedzkiego króla, któren, po tych ciężkich knotach otrzymanych od księdza Kordeckiego pod Częstochową, rozkochał się niemożebnie w Polakach i za koleżkie z namy był. Załadował król szwedzki swoich Szwedziaków na okręta, przywiózł do Gdyni, wysadził i dawaj Sasa po Polsce ganiać.

Kołowali się tak przez czas dłuższy, aż koniec końcem Sas poważniejszy wycisk otrzymał i najechał do saksonii.

Ponieważ że jak zawsze po wojnie mieszkań było brak, w miastach ruin do cholery i trochę, a zwłaszcz sprawy kwaternionowe byli mocno zaniedbane, zapreponował król szwedzki Polakom, żeby poznaniaka, niejakiemu Stanisława Leszczyńskiego, królem polskim obrali. Tak się tyż stało. Od tej pory poznaniaki za fachowców od kwaternionu, zagęszczania i przesiedlania uchodzą do dziś dnia.

Czego dowodem mamy nowego wiceprezydenta Srokie z miasta Poznania do Warszawy zgodzonego.

AUGUST III TRONKOWY

Jeżeli o wiele teraz rozwinem ten ruron i rzuciem okiem w prawy winkiel, co tam ujrzymy? - rzekł pan Piecyk rozwijając wielki rulon papieru, stanowiący litografię zatytułowaną „Poczet królów polskich”. - Ujrzymy tam mordziastego faceta w białej perudze z filizanką w tak zwanej lewej górnej końcówce ciała, czyli w ręku.

Facet ten to August numer trzy, także samo Sas.

Teraz musiem się zastanowić chwilę, co tyż może się znajdować w tej danej filizance?

Dzieciom w szkolnem wieku nauczyciele zmuszone są trajlować, że filizanka zawiera białe kawę z kożuszkim, kakałko czyli tyż herbatkie z mleczkim. Ale my, historycy, wiemy dobrze, że ta owa filizanka miesci w sobie ćwiartuchną gołdy, czyli sznapsa, czyli czystej wyborowej. W najlepszym razie może to być czerwony barszczyk, jeżeli król w czasie zdejmowania fotografii znajdował się po większej rozróbce, czyli ochlaju. A dlaczego możemy to stwierdzić? Dlatego że wiemy, że ten Auguściak był niemożebny kizior, czyli oliwa.

Niezależnie od tego miał dużą melodię do żarcia, o czem łatwo możemy się przekonać po „walizce”, jaką przed sobą nosił i która jest odrobiona na tej fotografii.

„Za króla Sasa rąb, pij i popuszczaj pasa” mówiło się w tem czasie w Polsce, bo szlachcice brali z niego przykład i „młócili” za trzech, a pili za czterech.

Ten król, jak sobie podkrochmalił, różne niemożebne grandy w pijanem widzie skuteczniał. Siadał sobie na przykład pod fontanką w Saskiem Ogrodzie z dubeltówką w ręku, a magistrackie ciecie kijami od zbierania

„papierków”, czyli mundsztuków, napędzali od bramy na Królewskiej różną zwierzynę, którą w klatkach z lasu w tym celu przywozili. Byli tam zajace, dzikie świnie, wiewiórki i temuż podobnie.



A król spod fontanny trzask co i raz do którejś sztuki z dubeltówki. Możem sobie wyobrazić, co się wtenczas w Saskiem Ogrodzie działo. Niańki z wózkamy do Marszałkowskiej albo Niecałej smarowali. Kupcy zapychali kłusem za Żelazną Bramę. Krzyk, dym, huk, jednym słowem Sodoma i Gomora. A podgazowany król się tem nie przejmował, tylko co i raz inne zwierzynie brał na muche - albo w górę strzelał, żeby publicznie straszyć.

O wiele by to był leguralny polski król, nigdy bym marnego słowa o niem nie powiedział, trudno, gazownik, ale nasz rodowity. Ale że ponieważ to był szkop, któren naszego króla tylko odstawiał, możem o niem się w ten sposób wyrazić.

Często się zdarzało, że jak o jednego za dużo wygondolił, zaczem w zajaca, w figury, które tam na rogach alejek byli poustawiane, wtrafiał. W ten deseń poutrać ręce gołej gipsowej facetce pod tytułem Wenus, która już się potem do ogrodu nie nadawała i w charakterze historycznej ruiny do Narodowego Muzeum musiała być przeniesiona. Tam w gablotce figurowała, publice ją za ciężkie pieniądze pokazywali jako Wenus Milońskie, czyli że wykopane z ziemi w Milanówku.

Była to tak zwana naukowa lipa, którą dyrekcje muzeów często lubieją się posługiwać nie tylko u nasz, ale także samo i za granicą. Do tej serii należą wypchane sjamskie siostry, czyli zrosnięte dwie ofiary losu, ciele z dwoma głowamy, kobieta z brodą i temuż podobnie.

Gaz był wtenczas znacznie tańszy niż obecnie, ale dzień w dzień gazować i w kołyskie się zaprawiać, to nawet królewskiej pensji nie starczy. Toteż już trzeciego każdego miesiąca August Tronkowy bez grosza chodził. Na razie lepsze interesa kredytowali na ćwiartkę wódki, bigosik, jajeczko mole, ale jak zobaczyli, że nie uiszczą, dzwonka śledzia nigdzie bez pieniędzy nie mógł dostać.

Wtenczas Auguściak do ministra skarbu, tyż szkopa, niejakiego Brühla, uderzał, żeby mu akonciaka na przyszłe pensje odpalał. Brühl sztorcował go od ostatnich, ale koniec końców odpalał mu zawsze parę złotych.

Sam za to kradł obiema rękami, co się dało, i z tych kradzionych forsiaków chałupę sobie postawił w precypalnym punkcie miasta, na Saskiem Placu. Dwie boczne oficynki i jedna poprzeczna. Do samego powstania stała ta posesja, ale rządowa już była, bo komisja specjalna ją skonfiskowała, jako że za kradzione z państwowego banku pieniądze była postawiona.

Auguściak z temy paroma złotemy, co mu drań Brühl odpalał, nie mógł się pokazać w żadnej kanjpie pierwszej kategorii. Ani do „Renesansu”, ani do „Bristolu”, ani do „Bukieta” wstępu już nie miał.

W łódzkiej wsiadał i na drugie strone Wisły się przeprawiał. Tam w piwiarni „Pod Dębem” rozrabiał, na karuzeli jeździł, na drewnianej sali z różnemi zdzirami tańczył, jednym słowem, jak to mówią, prowadził się niemożebnie.

Na te pamiątkie mamy do dzisiaj Saskie Kiepe.

STRYJO JÓZIA PONIATOSZCZAKA

Wszyscy dobrze pamiętamy żelazne figure gołego faceta z pałaszem w reku, którego na koniu przed Saskiem Ogrodem do samego powstania siedział.

- Był to książę Józef Poniatowski - przerwałem mimo woli panu Piecykowi jego kolejny wykład o naszych dziejach.

Spojrzał na mnie z wyrzutem i mówił dalej:

- Rzecz jasna, że nie Kopernik, otóż więc obecnie o niem będziemy mieli zaszczyt parę słów zaznaczyć, ale tylko pokątnie. Główne mowe będziemy zawałać o jego stryju, którego po wykitowaniu Augusta III Tronkowego za króla u nasz się został.

Zacznem dlatego od bratanka, że stryjo nie cieszy się u nasz tak zwaną opinią. Po prostu w charakterze króla, mówiąc naukowo, był cholere wart.

Na derektora BOS-u kwalifikacje posiadał, kto wie nawet, czyby jako prezydent miasta Warszawy nie obleciał - ale na króla był w tamtem czasie za frajer. Za to młody Poniatoszczak, ten w prześcieradle, dał się całej Warszawie lubić. I po mojemu pomnik mu się przed Saskiem Ogrodem należy, niekoniecznie na goło, bo faktycznie wstyd przed zagranicznymi gośćmi, które często tamtędy przejeżdżają, żeby nasz bohater narodowy za takiego rozmamłanego lebiegie konnej jazdy używał. Dlaczego w ten sposób został odrobiony - nie wiadomo.

Są dranie ludzie w Warszawie, które mówią, że było jednego razu tak, że książę ciut, ciut pod muchą w samym prześcieradle na konia skoczył i z plaży Poniatówki do gienieralnego sztabu tak letko ubrany zasunął. I podobnie na te pamiątkie w ten deseń przez jakiegoś zagranicznego rzeźbiarza odrobiony został. Ja tam nie wierzę, żeby tak być mogło. Ale nawet o wiele tak, no to co? Poniatoszczak ułan był, chłop równy jak rzadko, mógł sobie czasem pozwolić. To co? To mamy mu teraz pareset lat dokuczać? Kto ma prawo, chyba rodowita właściwa żona, ale książę nie frajer, w kawalerskim stanie do końca życia się znajdował. I owszem, zgadzam się, że jako figura w publicznym miejscu stojąca w dzisiejszym moralnym czasie wywdziękowi nie posiada. Toteż powinno mu się dorobić ułańską czapkę, perelinę na futrze, także samo mundur. Koń obowiązkowo musi mieć siodło i kantar. Ale postawić go na starym miejscu się należy.



Gadają, że obszarnik z ziemiańskiej branży, ale to było dawno, dzisiaj do średnich chłopów co najwyżej by się zaliczał. Już by się Urząd Skarbowy tem zajął.

Poniatoszczak jako kawaler w ułanach służył i znakiem tego „oliwa” był nastajaszczy i różne rozróbki po warszawie skuteczniał. Co i raz do króla przylatał ktoś z rachonkiem: a to kielner z „Renesansu”, a to Bursiak za kwiaty dla jakiejś artystki, a to znowuż nieboszczyk Kiliński za lakierowane oficerki, bo trzeba panu szanownemu wiedzieć, że Poniatoszczak ubrać się lubiał i nosił się jak lalka.

Zgniewało to koniec końców króla, kazał go zawołać jednego razu i mówi:

„Józiek, jak pragnę zdrowia, co ty chcesz stryja z torbamy puścić czy jak? Ja także samo mam wydatki, tyż lubię sobie przyzwoicie podchromolić, tyż kawaler jestem i na konto wolnej miłości swój ekspens mam. Dla nas dwóch nie wystarczy. Już mnie tu minister skarbu pare razy podgrymaszał, że dwie pensje naprzód akontamy wybrałem, tak dłużej być nie może.”

No i ma się rozumieć, pojechał z niem do banku Skowronka na Bielańskie ulice, zaręczył za niem, pożyczkie dostali i wybudował mu te chałupę koło Zamku - fronicik i dwie oficynki.

„Trzy pokoje z kuchnią na froncie sobie zostawisz, a oficyny lokatorom się wynajmie. Każdego ósmego przejdiesz się po mieszkaniach, komorne zbierzesz i będziesz miał na ochlaj. Więcej o żadnych rachonkach nie chce słyszeć i kielner nie kielner, lubiler nie lubiler, każdego jednego na zbite szyje ze schodów własnoręcznie spuszcze” - w te słowa król się wyraził, potem korone na głowę i poszedł do Łazienek na spacer.

W ten deseń tak zwany pałac „Pod Blachą” powstał.

Na razie król z okien zamku kapował, o której Poniatoszczak do domu wraca i kogo ze sobą przywozi i nieraz przez lufcik go sztorcował. Ale koniec końców nic z tego nie wyszło, bo wojna się zaczęła i ochrona lokatorów. Całe komorne Józkowi na paczkie papierosów nie wystarczało. Potem postawili Nowy Zajazd i pałacu „Pod Blachą” wcale za niem nie było widać. Teraz znowu stał się widocznym.

No, ale pobarłóżmy teraz troszkie o stryju.

Jak już zaznaczyłem, król Stanisław August nie ma zanadto dobrej marki. Faktycznie, za jego panowania Polska nasza kochana za ofiare losu się została, ale on sam nie był temu winny.

W każdym bądź razie po śmierci nie powinno się go obczerniać.

- Istotnie „de mortuis aut bene, aut nihil” - wtrąciłem znowu.

- Tak jest, co po polsku oznacza: „Na mortusiaków nie pyskować, bo mogą nasz w zaduszki nastraszyć”.

A już takie draki, jakie urządzał mu na pogrzebie Składkowski, faktycznie nie byli do niczego podobne. Przed wojną to było, ciało z zagranicy zostało do nasz przywiezione i miał się odbyć po formie pogrzeb. Miejsce na Powązkach rodzina zakupiła, pokładne było opłacone, tylko na cmentarz jechać. Ale Składkowski się w to wtajemniczył i zaczął biurokratyczne rozróbki.

Najsampierw akt zejścia mu się nie spodobał. Kropki brakowało. Potem zażądał świadectwa od doktora, który króla ostatnio leczył, potem zaświadczenia z Chorej Ubezpieczalni, że nigdy nie należał i nie korzystał ze świadczeń. Jednym słowem, kazał sobie przedstawić, jak to mówią: „dwóch świadków, trzy wezwania, klucz od mieszkania i fotografie ojca”.

Ma się rozumieć, rodzina miała tego dosyć, plac na Powązkach opylila jakimś innemu nieboszczykowi, a króla pochowała po cichu gdzieś na prowincji.

Tak było po śmierci. Jak się prowadził za życia, jak poetów co czwartek na flaki z pulpetamy zapraszał, jak się ze swoim młodszym famieliantem podbawiał, zaznaczę panu szanownemu drugą razą.

FLAKI U KRÓLA STASIA

Poprzednio miałem już zaszczyt nadmienić parę słów na konto ostatniego naszego króla, niejakiego Stanisława Augusta. Dzisiaj zmuszonym jestem pobarłóżyć jeszcze troszkie o tem, jak Warszawie odbudowywał i do czego służyli Łazienki.

Faktycznie, facet był bardzo uzdolniony w ogrodniczym fachu, czego dowodem, że Łazienki nam założył, które do dziś dnia, jak rzadko, się nadają młodziakom na tak zwane „ksiuty”. A dlaczego? Bo sam król po tej części był nadzwyczaj obrotnym.

Jako starszy kawaler po czterdziestce, na dobrej królewskiej posadzie, miał niemożliwe wzięcie u tak zwanej płci. Każda jedna hrabina króla w bajer brała, żeby tylko się za królowe zostać. Każda się chwaliła, że na kuchni się zna jak rzadko kto, że takiego barszczyku na dudkach, jak ona gotuje, żadna insza nie potrafi.

A Stasio, faktycznie, lubiał wrębać coś dobrego i niezależnie stołówkie dla poetów w Łazienkach prowadził, gdzie co czwartek Słowaczaki z całej Warszawy na flaki z pulpetamy się schodzili. A król siadał między niemy, największe porcje przed sobą postawić kazał, a poeciaki do wiersza się między sobą kłócili. Który najlepiej drugiego wierszamy obciął, parasola z niego zrobił - dostawał dolewki i dodatkową setkię eksportowej.

Totyż zasuwali te kawałki jeden przez drugiego, ale żaden biskupa Krasickiego nie mógł przegadać, który takie gadki do śmiechu zaiwaniał, że czasem trzy, cztery dodatkowe porcje flaków wygrał.

Totyz nic dziwnego, ze królowi na dobrym gotowaniu może zależyć, żeby go poeci po Warszawie potem nie obszczekiwali, że pulpeta w Łazienkach twarde. I dlatego te hrabinie gotowaniem się chwalili. Król słuchał, do pucu niby tyż to się oświadczał i randki jem wszystkim naznaczał.

Z jedną się umówił w Białym Domku, z drugą w Pomarańczarni, z trzecią znowuż w budce z piernikamy i sodową wodą przy głównej alei. Kolejno od jednej do drugiej chodził i krugom się zaręczał. Ale wszystko na jury, bo do końca życia w kawalerskim stanie się pozostał. Bo faktycznie, po cholere mu była żona potrzebna - na same elekstryczne łapanie oczek w pończochach pensji by mu nie starczyło. Bo wtenczas taka była moda, że i mężczyźni w jedwabnych nylonach chodzili. Dosyć miał zmartwienia ze swojemi trzema parami pończoch - jakby mu tak jeszcze żonine doszli - leżałby jak neptek.

Swoje by taka cholera w trzy dni podarła, to rzecz jasna, że co i raz podwadziłaby parkie mężowi. I tak by mu koniec końców wyszło, że boso by na czwartkowych obiadach siedział i po nogach się drapał, bo w Łazienkach choleryczne komary.

W ogólności taka moda, żeby mężczyźni i kobiety jednakowo się ubierali, jest, jak to mówią, do kitu.

Bo o wiele dzisiaj różne „Przyjaciółki” i „Praktyczne Mody” pouczają kobiety, jak mężowkie niedzielne spodnie na balowe kiecki przerabiać - tu zaszyć, tu rozpruć, tu róże przyczepić - to możem sobie wyobrazić, co się działo w tamtem czasie. Nic dziwnego, że król nie chciał się żenić i z Józiem Poniatoszczakiem wolał się nielicho pobradziażyć. Ale to wieczorem albo przy niedzieli, w powszedni dzień budowłą się zajmował, pomniki u kamieniarzy zamawiał. Do dziś dnia figuruje na Agrykoli Sobieski. Król Stasio sam tej roboty doglądał i jak nasz historia poucza, troszkie zanadto się tem przejmował, przez co tragedia wyszła.



Detalicznie to było tak. Przychodzi król jednego razu na Agrykole i widzi, że kamieniarze jakoś wolno Sobieskiego machają i mogą na czas planu nie skutecznąć. Więc wyjmując, ma się rozumieć, z kieszeni ćwiartkę, z drugiej zimne zakąskie, mruga na jednego i zaznacza:

„Cznia, majster, golnij pan, zakąs i łubudu! Musi być Sobieski gotów na niedziele!”

Kamieniarze ćwiartki wypili, posłali po drugą, a później, ma się rozumieć, po trzecią i tak się zaczęli śpieszyć, że ostróg zapomnieli Sobieskiemu dorobić, i niezależnie zaczęli w koronie, w strażackiej czapce go odstawili.

Stanisław August, jak to zobaczył, obsztorcował ich na czym świat stoi i wytrącił po trzy złote, groszy pięćdziesiąt za wódki i zakąski.

Cała Warszawa się potem z tego pomnika nabijała, czem się jeden z kamieniarzy tak struł, że życie sobie za pomocą powieszenia odebrał.

A Sobieski w strażackim nakryciu głowy, konno, bez ostróg, do dziś dnia na Agrykoli figuruje w charakterze ostrzeżenia, do czego prowadzi ankoholizm podczas roboty.

SEJM W KARAFCE

Jaki tam był król Stasio, taki był, ale koniec końców chciał się przyczynić i troszkie porządku w Polsce zaprowadzić. Nie udało mu się to, bo był facetem cykoryjnym i za dużego mojra przed sąsiadami odczuwał. Na razie wziął się dosyć ostro do roboty, sejm czteroletni zwołał i tak zwane prawo „waty” w kibinimatrzy, czyli na zbitą twarz wyrzucił.

A te prawo było takie, że o wiele w sejmie znalazł się chociaż jeden poseł, którego podczas głosowania nad jakimś programem krzyknął jedno tylko słowo: „Wata!”, sejm był nieważny, posłowie brali forse i rozjeżdżali się do domów. I to bez różnicy, czy ten ów poseł by zalany w dym, czy wszyscy wiedzieli, że za forse to zrobił.

Bywszy na miejscu dawniejszego marszałka sejmu, wziąłbym takiego drania za krawat, za filar wyprowadził i powiedział: „Chuchnij no, poseł!” - i jeżeli tylko mało wiela ankoholizmem by podjeżdżał, ledykimacje poselskie, niżkie tramwajowe i bezpłatny bilet kolejowy bym odebrał, żeby go niedotyknąć pozbawić, a potem odwrócić bym mu się kazał i kopniaka w pierwsze krzyżowe zasunął: „Wont, siroto, bez ojca i matki, jak nie umiesz się w sejmie, jak się należy, prowadzić”. Ale wtenczas inaczej było, cały sejm przez jednego drania się rozjeżdżał i nie można było żadnej sprawy po formie załatwić.

Nawet jak Konstytucje 3 Maja się uchwalało, trzeba było sejm w karafce nabicić. A detalicznie było tak:

Bojał się król i lepsze posłowie, żeby dranie „waciaki” nie zaczęli jem szurać przy głosowaniu nad tą konstytucją, to nie mieli inszego wyjścia, tylko do pucu naznaczyli posiedzenie na piątego maja, a w tem trakcie po cichu trzeciego się zjechali i całe te roboty bez tamtych łobuzów odwalili.

Tamte przyjeżdżają piątego, a woźne w sejmie w śmiech, że niemożliwie w karafce zostali nabite, i kota jem pognali.

Ale cóż, konstytucja była dobra, różne prawa ponaznaczała, że nasza kochana Polska mogła się była jeszcze wyratować, ale sąsiedzi do tego nie dopuścili.

A najgorszy był, ma się rozumieć, szkop - cara zbontował, Austrie, cholere, napuścił i wszystka trzech się za nasz wzięli. Kościuszko walczył, szewc Kiliński zdrowo się z warszawskimi remiechami na Starówce namęczył. Józek Poniatoszczak chciał także samo odrobić to, co stryjo naknocił, ale sie koniec końców uszarпали.

Józek różnie próbował, w jakiś czas potem z niejakiem Napoleonem się spomknął, którego w tem czasie za dużego kozaka był i całej Europie knoty zasunął, ale koniec końców leżał jak neptek. A Poniatoszczak życie

przy niem stracił, bo Napoleon, jak spod Lipska pryskał, most za sobą wysadził w powietrze i koleżkie na drugiej stronie zostawił...

Nadmienie jeszcze tylko, że Stanisław August w mieście Petersburgu jako bezrobotny umarł i na tem zakończem barłożenie o polskich królach.

Wyberzem się tylko jutro rzucić okiem na zamkowe gruzy, na pałac Józia „Pod Blachą” i zobaczem, jak tam z ruchem na trasie W-Z.

